

FOLHA POLONÊSA

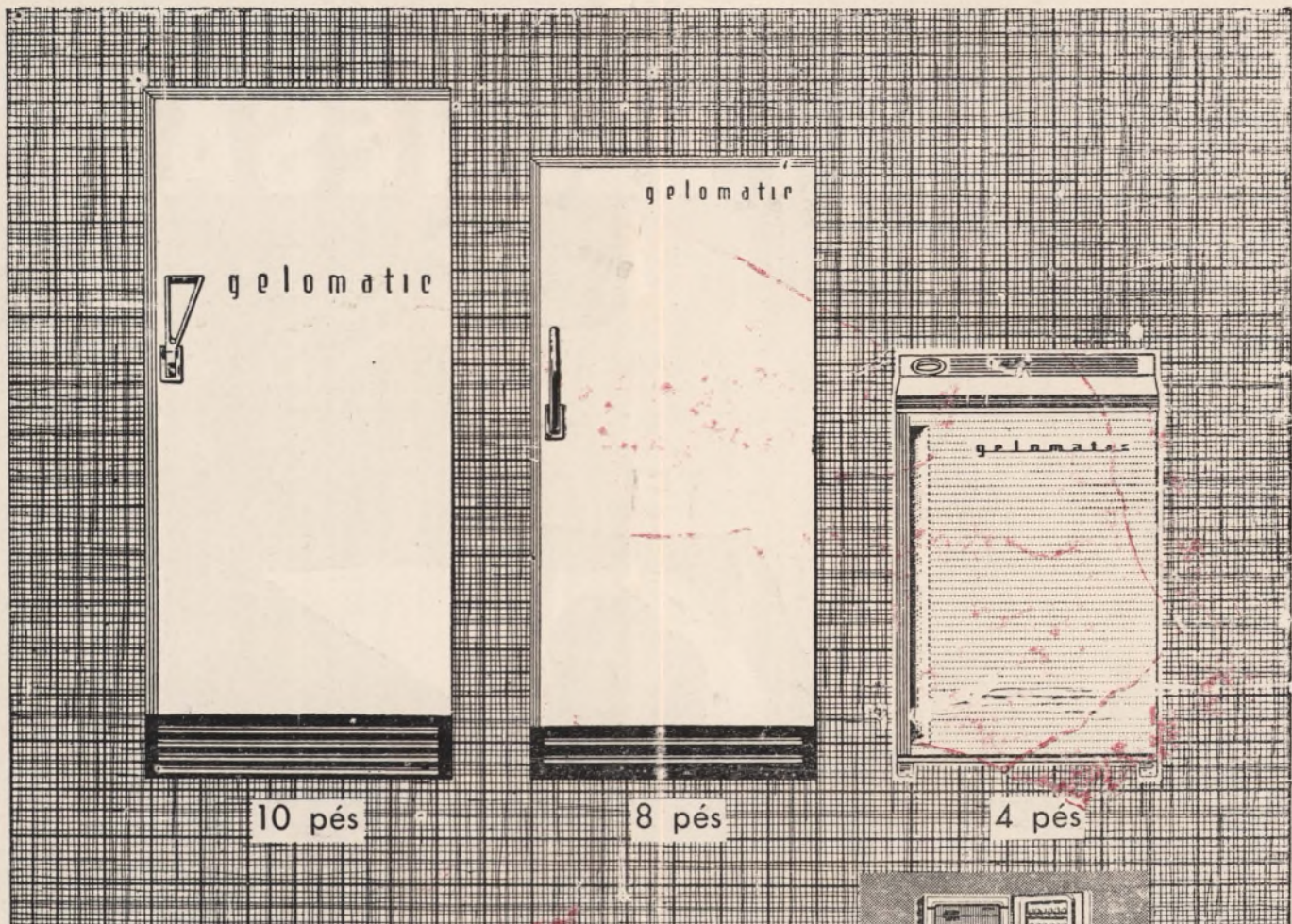
PRZEGLAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA



Ano IV Fevereiro 1963

26



SOB MEDIDA

PARA SUA FAMÍLIA

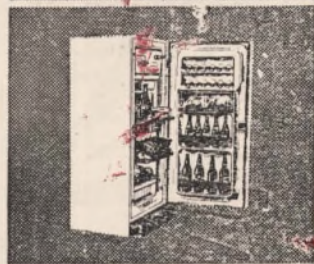
gelomatic

Super Luxo

Seja qual for o seu problema,
de espaço ou tamanho de sua família,
há um Gelomatic para resolvê-lo.



10 pés



8 pés



4 pés

internamente coloridos

QUALIDADE GELOMATIC
internacionalmente reconhecida
MEDALHA DE OURO
de Bruxelas



PROCURE OS CONCESSIONÁRIOS

GTICA PROA



A MARCA QUE GARANTE O PRODUTO

SÃO PAULO: Rua Clélia, 93 - Fone: 62-3121 (rêde interna) - Caixa Postal 5.659 - End. Telegr.: GELIBESA ou TAMBORES
RIO DE JANEIRO: ESCRITÓRIO - LOJA - EXPOSIÇÃO: Praça Ana Amélia, 9 A e B - Fones: 32-7362 - 22-9346 (rêde interna)
End. Telegr.: RIOTAMBORES - FABRICA: Avenida Brasil, 6.503 - Fone: 30-1590
RECIFE: Rua do Brum, 595 - Fone: 9-694 - Caixa Postal 227 - End. Telegr.: TAMBORESNORTE
PORTO ALEGRE: Rua Moura Azevedo, 220 - Fone: 2-1743 - Caixa Postal 1734 - End. Telegr.: TAMBORESSUL
BELEM DO PARÁ: Avenida Presidente Vargas, 53 - Conj. 308 - Fone: 5-198 - Caixa Postal 913 - End. Telegr.: GELIBESA
BELO HORIZONTE: Rua Aquiles Lobo, 469 - Caixa Postal 881 - Fone: 2-1919
SALVADOR: Rua São João, 10 - 1.º andar - Fone: 2-286 - Caixa Postal 153

RESTAURACJA

"NOVA ROSEIRA"

Miejscowość:

MOREIRA CÉSAR - TEL. 6
VIA DUTRA

OD SÃO PAULO — 146 klm.

OD RIO DE JANEIRO - 259 klm.

KUCHNIA POLSKA

ŻYCIE DUŻE DWA ZALETY —
TO JEDZENIE I KOBIETY.
BIERZ POD PACHĘ BABKĘ SWĄ
I ZAJĘDZAJ W KNAJPE MA



"INTRAFERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-14-76

93-26-00

São Paulo



INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe:
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0306

SÃO PAULO

Imobiliária Denis-Stanley

Stanisława Ossowieckiego

SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI

Rua Aurora, 884 (parter i pierwsze piętro) w
pobliżu Av. Vieira de Carvalho. SÃO PAULO

Telefony: 37-9426 i 36-6748



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

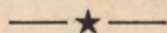
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Electr.: "COPINDUS"

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczyska spaceru,
konie pod wierzchołkami, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i 1/2 godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

Dr. Arnaldo Serroni

ADVOCADO

Causas cíveis, comerciais, criminais,
trabalhistas e fiscais, inventários, despejos etc.

Praça da Sé, 96 — 5.º Salas
84, 89 e 90 — Tel.: 32-2461

SÃO PAULO

BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne.
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
Cambuci

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

SÃO PAULO

Fones: 63-3100
63-3109

SPIG

Sociedade Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo

Via Radiobrás

TELEGRAMAS

TELEX

TELEFONE

para o exterior

Rio de Janeiro tel. 52-6000

São Paulo tel. 33-4111

Santos tel. 2-7194

Recife tel. 9291

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

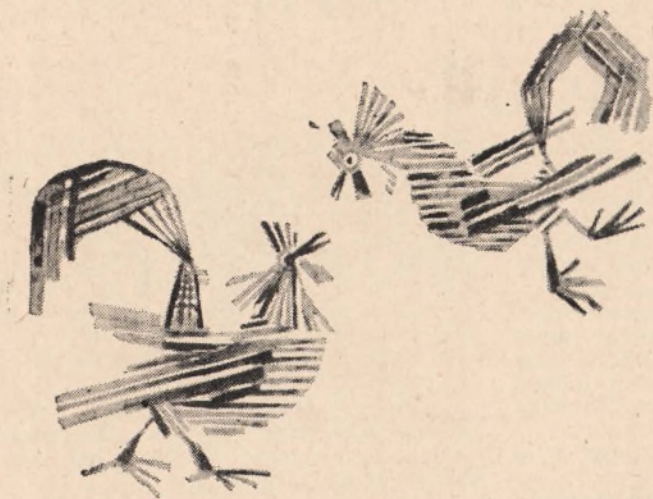
Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: — Rua Barão de Itapetininga, 140 conj. 133 - C. Postal, 6335 - Fone: 37-57-41 - S. Paulo - Brasil.

Sucursal: — Rio de Janeiro, rua Miguel Couto, 35, gr. 763
Telefone: 42-4339.

Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.
Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 50,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.

POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ

ASYMILACJA CZY WYNARODOWIENIE?

Do napisania tych kilku słów natchnęły mnie Konfrontacje" Aleksandra Hertza, zamieszczone w zeszłorocznej "Kulturze" paryskiej.

Hertz powiada nie bez słuszności, że na ogół dzieci emigrantów źle mówią po polsku, wcale nie mówią lub wykazują słabe zainteresowanie dla polskości. Co więcej wszystkie próby rodziców — emigrantów "utrzymania swego potomstwa przy mowie i obyczaju dawnych ojczyzn rozbijają się o niechęć dzieci, o ich wyraźny opór wobec narzucania im spraw obcych i mało interesujących".

"Chodzi tu nie tylko o język, — mówi Hertz. — Chodzi o to, że emigrantów coraz bardziej pochłaniają ich sprawy miejscowe, że słabnie ich zainteresowanie dla spraw krajowych, że coraz gorzej się w nich orientują. Niemniej ważne jest i to, że emigranci w ogóle się zmienili, że od świata, w którym żyją, przejęli i ciągle przejmują obyczaje, postawy i wartościowania, które nie mieszczą się w tym tradycyjnym wzorze, jaki obowiązuje w Polsce i jest szczególnie ważny dla ludzi starszej generacji".

Zjawisko zaobserwowane przez Hertza jest, niestety, jak najbardziej prawdziwe. Emigranci polscy wynaradawiają się w szybkim tempie, nie asymilują się, a właśnie wynaradawiają.

Warto tu, moim zdaniem, przeprowadzić analizę obu tych wyrazów. Asymilacją nazywamy upodobnienie się do środowiska, w którym człowiek przebywa. Jeśli wleziesz między wrony musisz krakać jak i one — powiada stare przysłowie. I to jest, wydaje się słuszne, nieodzowne. Mieszkając w obcym kraju z zamiarem pozostania w nim na stałe musimy ubierać się jak tubylcy, mówić po prawie ich językiem, dostosować się do ich obyczajów. W przeciwnym wypadku krajowcy będą nas uważać za intruzów, nie lubić, a czasem nawet nienawidzić. Nie mówię już o tak oczywistych rzeczach, jak lojalność wobec nowej ojczyzny, nie przekraczanie jej praw, jak zajmowanie się użytecznym dla kraju zajęciem i nie pędzenie pasożytniczego żywota.

Człowiek, który się zasymilował, nie musi jednak zmieniać skóry. Może i powinien czuć przynależność do narodu, z którego się wywodzi. Niemcy, Włosi i Japończycy wydają się to rozumieć. Mają się oni za Brazylijczyków, gdyż przebywają stale w Brazylii, można ich uważać nawet za patriotów brazylijskich. Ale nie plują na swoją ojczyznę. Przyznają się z dumą do pochodzenia obcego, do kultury, która ich ukształtowała.

A co my? Ilu spotkałem na obczyźnie rodaków, którzy urodzili się i pół życia mieszkali w Polsce, a teraz zacieraają za sobą ślady polskości.

"Nie jestem Polakiem — mówią — i nie chcę mieć nic wspólnego z Polakami."

Tak jak gdyby naród polski był narodem pariasów, a przynależność do niego hańbą.

Nie wiem, czy tego rodzaju postępowanie znalazłoby uznanie nawet w oczach Amerykanina, czy Brazylijczyka. Oni doskonale zresztą wiedzą "kto jest kto" i na co kogo stać. Człowiek, który tak lekko wyzbywa się swojej narodowości, zazwyczaj wart jest niewiele. Dziś uważa się za Brazylijczyka, jutro kiedy zdobędzie dość gotówki, przeniesie się do innego kraju, aby stać się prawdziwym Kanadyjczykiem lub Anglikiem.

Ja rozumiem, że nawet w państwach wielonarodowościowych, jak Stany Zjednoczone, Brazylia lub Kanada z czasem wszystko się wymiesza w jednym wielkim tyglu i powstanie z tego jednorodna narodowość Amerykanina, Brazylijczyka lub Kanadyjczyka. Jest to proces nieunikniony, któremu się nic i nikt nie może przeciwstawić.

Ale po co go mamy sami przyspieszać? Niech jak najdłużej dźwięczy słodka mowa polska i niech jak najdłużej w naszej diasporze szerzy się dobry obyczaj polski. I nawet wtedy, gdy po latach potomek emigranta nie będzie już umiał mówić po polsku i pod względem narodowym będzie się uważał bez reszty za Amerykanina lub Brazylijczyka — niech ma wpojone w serce przekonanie

o szlachetności swego pochodzenia. Niech pokaże gościowi z dumą fotografię stron ojczystych i powie:

"Z tej to właśnie polskiej wioski wywodzi się moja rodzina".

Na tym bowiem polega prawdziwa kultura osobista.

Kiedy piszę te słowa przypomina mi się stara anegdota angielska.

Król angielski Edward VII uważany był słusznie za nieposzlakowanego dżentelmena. Pewnego razu przybył do niego z listami uwierzytelniającymi nowy ambasador niemiecki. Król po audyencji odprowadził go do przedpokoju i własnoręcznie podał palto.

Ambasador zmieszał się.

— Ależ Wasza Królewska Mość wybacz... ja nie mogę się na to zgodzić. Ja... ja... sam włożę palto.

— Proszę się nie krepować — odparł z uśmiechem król. — Tylko lokaj wstydzi się komuś służyć.

A r a m i s

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość .. str.	5 - 7
W świecie nauki	8 - 9
Przeszłość a teraźniejszość "	10 - 12
Podróże — Przygoda .. .	13 - 15
Opowiadanie — Szkic .. .	16 - 18
Życie gospodarcze	19 - 21
Na pograniczu bajki .. .	20 - 21
W starym kraju	22 - 24
Na naszym podwórku .. "	24 - 25

System kolonialny sam się zamordował

B. Mieczkowski na łamach "Kultury" paryskiej pisał niedawno o swoich wrażeniach z podróży dookoła świata, wypowiadając ciekawe, ale jak każdy turysta powierzchowne obserwacje. M. in. Mieczkowski omawia charakterystyki poszczególnych narodów azjatyckich i jak to odbija się na ich produktywności i podaje, że wydajność pracy zależy od odżywiania się i klimatu. Powołuje się przy tym na autorytet Ellsworth'a Huntingtona.

Ale dla człowieka, który spędził kilka lat pod równikiem albo chociażby pod zwrotnikami, jest to sprawa oczywista bez powoływania się na autorytety naukowe.

Sam tytuł artykułu Mieczkowskiego: "Człowiek warunkiem postępu ekonomicznego" świadczy, że autor docenia znaczenia właściwości człowieka w rozwoju gospodarczym, ale twierdzenia tego nie pogłębia. Nie potrafi, czy nie chce powiedzieć, że jeden naród jest pracowitszy od innego, że jeden naród może mieć większe zdolności organizacyjne, niż inny itp. Są to kwestie pomijane zazwyczaj wstydliwie nie tylko przez Mieczkowskiego, ale i przez innych publicystów. Uważa się być może, iż pachną one rasizmem, który został wyklęty, miejmy nadzieję na stałe.

Dla mnie to wystrzeżenie się drażliwych spraw ma w sobie posmak czegoś fałszywego. Uważam, że każdy naród ma w swoim charakterze cechy dodatnie i ujemne i że te ostatnie mogą być, rzecz prosta, zniweczone, co jest rzeczą trudną ale nie niemożliwą.

Różnice charakteru poszczególnych narodów, posiadających kolonie, uwidatniły się ostatnio przy rozwiązywaniu zagadnienia kolonialnego.

Znam sprawy kolonialne na terenie Afryki z okresu wojny, gdy system kolonialny stanowił jeszcze regułę i gdy nikomu nie postało w głowie, że dni jego są policzone. Gdyby ktoś przepowiadał, np. w Kongo belgijskim w r. 1945, że za lat piętnaście kraj ten odzyska niepodległość, wzięto by go za wariata. Dziś nieprawdopodobne zdawało by się załamanie systemu kolonialnego we wszystkich koloniach poza portugalskimi stało się faktem dokonany. Można też obecnie ocenić jak wyzwolone z jarzma ludy odpłacają się swoim dawnym ciemiężycielom. Odpłacają się zaś różnie, zależnie od tego jak byli traktowane.

Traktowanie narodów kolonialnych wynikało z różnych narodowych charakterów kolonizatorów. Pod jednym względem byli oni jednomyślni — pod względem niemiłosierdnego wyszoku gospodarczego. Ale już gdy chodzi o kwestie rasowe traktowanie ludów kolonialnych było diametralnie różne.

W tej dziedzinie najbardziej liberalni są Francuzi. W koloniach francuskich nie istniał *colour bar* (rozdział rasowy). Murzyn nie narażał się na wyrzucenie lub obicie, jeżeli wstąpił na posiłek do "białej" restauracji. W Paryżu nie raziło nikogo i nie razi, gdy biała dziewczyna chodzi i nie tylko chodzi z Murzynem. I, moim zdaniem, dzięki temu liberalizmowi w sprawach rasowych proces dekolonizacji w koloniach francuskich przeszedł najłagodziej i z niewielkimi wyjątkami Francuzi pozostali w dawnych koloniach w niewiele zmienionych warunkach.

Inny stosunek do ludności murzyńskiej istniał w koloniach brytyjskich. Jeżeli chodzi o pewną praworządność, tępienie nadużyć w stosunku do ludności murzyńskiej tak częstych w koloniach to, niewątpliwie, Brytyjczycy przodowali.

W Rodezji Północnej byłem świadkiem zajścia pomiędzy uchodzącą spod Hitlera, a Murzynem. Biały kopnął Murzyna, a Murzyn mu oddał. Gdyby nie moja interwencja nie wiadomo jakby się to zajście skończyło. Widziałem jak w oczach Murzyna zapaliła się wściekłość, którą obserwowałem przedtem tylko u zwierząt. Sprawa oparła się o funkcjonariusza brytyjskiego, nazywanego co prawda negrofilem — nazwa obraźliwa i pogardliwa w ustach białych rasistów. Zznałem, że biały uderzył pierwszy i Brytyjczyk uznał sprawę za załatwioną.

— Wie pan przecież — powiedział, — że nie wolno bić Murzynów.

Mimo to Anglicy nie są kochani przez swoich dawnych podopiecznych. Wynika to z istnienia w koloniach brytyjskich *colour bar* i wyniosło — pogardliwego ustosunkowania się Anglików do narodów kolorowych i nie tylko kolorowych.

Dziwna historia. W Anglii ludzie ci mogą być wszyscy zaliczeni do dżentelmenów. Zachowanie się Anglików, nawet z tak zwanych niższych sfer społecznych, ich sposób zachowania się przy stole, jedzenia i nie unoszenia w rozmowach na sporne tematy, może być przykładem dla innych narodów.

Kiedyś przyleciałem w nocy na centralne lotnisko w Londynie i musiałem dostać się do znajomych mieszkających na jednym z przedmieść północnych. Wziąłem taksówkę. Kierowca był bardzo spokojny i grzeczny. Przyniósł mi walizki do domu, ale byłem zaszkoczony, gdy zażądał podwójnej opłaty w stosunku do wskazówek licznika. Była to spora kwota i próbowałem się targować. Kierowca nie podniósł głosu. Gdyby to było w Paryżu, Rzymie lub Warszawie to pół dzielnicy zostało by napewno obudzone wrzaskiem. Kierowca powiedział po prostu, że wracając do centrum może nie mieć pasażera i że przepisy pozwalają mu na pobranie podwójnej opłaty. Służył mi swoim nazwiskiem i numerem i adresem miejsca, gdzie mogę to sprawdzić.

Ale poza Anglią Anglicy mają odmienne usposobienie. I nie są lubiani, a nawet często znienawidzeni. Ostatnio, jak pisał amerykański Time, dyktator egipski Nasser nazwał Anglików publicznie *sons of bitches* (dosłownie — sukinsynami). Czegoś podobnego nie powiedział nigdy o Francuzach, z którymi przecież ma także na pieńku.

Francuzi prowadzili w Algierze przez siedem lat okrutną i bezwzględną wojnę. Zdawało by się, że po tych siedmiu latach powinien ustać wszelki kontakt pomiędzy Francją, a niepodległą Algierią. Tymczasem istnieje współpraca gospodarcza i nie słychać o zaognieniu się stosunków pomiędzy obydwojema krajami.

Prezydent Tunisu, Burguiba, przesiedlał za działalność niepodległościową wiele lat (podobno trzydzieści) w więzieniach francuskich, a mimo to nie wieje nienawiścią do Francji. Mówią, że grzeczność płaci w stosunkach prywatnych. Na przykładzie Francji można by powiedzieć, że grzeczność i tolerancja płacą również w stosunkach rasowych.

Jeszcze gorszą sławę, niż Anglicy, mają kolonizatorzy holenderscy. Nie byłem nigdy w Indiach holenderskich, ale wiadomo mi, że Holendrzy cieszyli się tam opinią najbardziej bezwzględnych kolonizatorów, coś jak Niemcy przed rokiem 1914.

Dziś Holender nie może pokazać się w Indonezji, statek holenderski nie może zawinąć

do portu indonezyjskiego. Pytałem Holendrów czemu to przypisać. Tłumaczyli, że obecny prezydent Indonezji, Sukarno, siedział za robotę niepodległościową w więzieniach, gdzie nie smarowano go miodem. Mści się obecnie za osobiste krzywdy. Wydaje się to uproszczeniem. Taki np. Nasser nie siedział nigdy w więzieniu brytyjskim, a wieje nienawiścią do Anglii. Widocznie, Anglicy nastąpili mu kiedyś porządnie na odciski i pozostał wieczny uraz.

Można być bowiem dżentelmenem i urazić niedżentelmena zwykłym wyniosłym traktowaniem bardziej, niż gdyby inny niedżentelmen dał mu w papę.

Do kompletu rozstawienia po kątach kolonizatorów pozostali jeszcze Belgowie i Portugalczycy.

Znam dość dobrze Kongo i muszę powiedzieć, że tak złego traktowania Murzynów pod każdym względem nie widziałem nigdzie. Wyzysk gospodarczy panował tu taki sam jak w innych koloniach, ale ogólne traktowanie ludności tubylczej było poniżej wszelkich ludzkich norm.

W teorii istniała kara za uderzenie Murzyna, w praktyce biały był w głębi kolonii panem życia i śmierci Murzyna, mógł go zabić i z łatwością wytłumaczyć się z tego czynu, gdyby w ogóle doszło do potrzeby tłumaczenia się. Nawet w takim mieście jak Elisabethville, o którym ostatnio tyle pisano w prasie codziennej, więźniowie nosili na szyi obroże, od której odchodził łańcuch. Zarówno obroża, jak i łańcuch były lekkie — był to raczej symbol, ale także charakterystyczny!

Kiedy dowiedziałem się, że Kongo ma odzyskać niepodległość obliczyłem, że dla wyrównania rachunków Murzyni wyrzną połowę białej ludności. Okazała się, że liczba ofiar była znikoma — ułamek procentu — co wskazuje, że Murzyni nie są tak mściwi jak możnaby oczekiwać, a biali, którzy mogli obawiać się zemsty, potrafili uciec na czas.

Inna wreszcie sytuacja panuje w koloniach portugalskich.

Portugalczycy nie mieli nigdy uprzedzeń rasowych. Gdy w w. XVII i XVIII rozpoczęli kolonizację Afryki i Indii zalecili osadnikom, aby łączyli się z miejscowymi kobietami. Ten stosunek Portugalczyków do innych narodów, brak uprzedzeń rasowych, przyczynił się niewątpliwie do uchronienia Brazylii przed problemami rasowymi. I obecnie w koloniach portugalskich nie ma *colour bar*. Murzyn może wsiąść do każdego autobusu, wejść do każdej restauracji, jeżeli tylko jest jako tako ubrany i ma pieniądze. Murzyn, który posiadałby dostateczny stopień wykształcenia i cywilizacji, nabywa wszelkie prawa białego człowieka. Inna rzecz, że tego rodzaju awans społeczny jest celowo utrudniany, a liczba takich Murzynów znikoma.

Wyzysk gospodarczy w koloniach portugalskich jest silniejszy, niż w koloniach innych narodów. Istnieje tam w pewnych wypadkach system pracy przymusowej, a o jakiegokolwiek praworządności w stosunku do Murzynów nie ma mowy.

System kolonialny sam się zamordował. W ciągu dziesięciu ostatnich lat wszystkie prawie ludy kolonialne zrzuciły jarzmo. Poszło to nadspodziewanie lekko. Biała rasa straciła kontrolę nad olbrzymimi obszarami Azji i Afryki i trzeba to powiedzieć wyraźnie — jedynie przez nieopanowaną chciwość i brak humanizmu.

A. GAWAR

WARSZAWA W OCZACH HITLEROWCÓW

Wrzesień obchodzono w kraju jako "Miesiąc Warszawy". Kiedyś, na krótko przed wojną, prezydent Stefan Starzyński rzucił hasło "Warszawa w kwiatach". Najpiękniej te kwiaty zdobiły stolicę właśnie we wrześniu — po wakacjach. Organizowano wówczas konkursy na najładniej ukwiecone okno, dom, podwórze. Różnobarwne pelargonie, opiewane kiedyś przez Or-Ota i Gomulickiego, jesienne astry i ognista szalwia dodawały całej stolicy — bo i klomby miejskie bujnie się rozkwiecały — blasków jesiennej świeżości. Później, we wrześniu, wybuchła wojna. Przetoczyła się przez cały kraj, ale najkrwawszą hekatombę złożyła w tym miesiącu Warszawa. W pięć lat później Warszawa jeszcze raz stanęła do walki. Powstanie rozpoczęło się 1 sierpnia, ale miesiącem największych zniszczeń i najboleśniejszych strat był właśnie wrzesień powstańczy.

W pierwszych latach po wojnie wrzesień stał się "miesiącem odbudowy stolicy", a z czasem — po prostu "miesiącem Warszawy", w którym i władze municipalne, i mieszkańcy starają się miasto swoje przyozdobić, przysłać mu nowych uroków, aby w ten sposób dać konkretny wyraz tej intymnej serdeczności, jaką żywią do miasta ukochanego.

Jest rzeczą znaną, że hitlerowscy okupanci najbardziej wrogo odnosili się właśnie do Warszawy. Kiedy w 1947 roku opracowywałem wąskotaśmową odtisk filmową kilkunastotomowego dziennika czynności urzędowych "gubernatora" Hansa Franka, byłem zdumiony, że w materiałach tych znajdują się tyle dokumentów teńnych nienawiścią do Warszawy, zionących złymi myślami w stosunku do mojego miasta rodzinnego, które raczej cieszyło się zawsze sympatią cudzoziemców.

Zawarte w tzw. pamiętniku Hansa Franka wypowiedzi dygnitarzy hitlerowskich, wygłaszane na posiedzeniach "rządu Guberni Generalnej", bądź na różnych konferencjach specjalnych, nie tylko ilustrują stosunek okupanta do Warszawy, lecz także świadczą o jej przeżyciach wojennych. Nie sposób tu przytoczyć wszystkiego. Poprzestaniemy na kilku, ale za to bardzo charakterystycznych fragmentach.

Oto na konferencji gubernatorów w Krakowie 11 listopada 1940 roku szef służby bezpieczeństwa w "dystrykcie" warszawskim — Standartenführer Meissinger, w następujący sposób scharakteryzował sytuację "dystryktu", samej Warszawy, jak też zadania okupanta:

"... Jedną z organizacji wysłała już polecenie do swoich członków, aby 15 września rozpocząć pojedyncze akcje w postaci wysadzania torów i poszczególnych zamieszkałych, bądź niezamieszkałych budynków. Ma to zadokumentować, że żyje jeszcze chęć oporu. Polak doskonale wie o tym, że nieważne jest dla świata, czy zdarzy się coś w którymkolwiek z miast polskich. Jeśli jednak zrobi się coś tu, w Warszawie, jako stolicy państwa polskiego, jest to dla prasy zagranicznej dowodem, że Polacy są jeszcze nie pokonani. Chcąc słusznie określić nasze tu zadanie, trzeba uznać, że polega ono na tym, aby za wszelką cenę uniemożliwić prasie zagranicznej stwierdzenie, że siła oporu polskości jest jeszcze

nie złamana... Sądząc z rozwoju sytuacji w ciągu ostatnich 14 dni, nie wyrażę tego w zbyt czarnych kolorach, Panie Gubernatorze Generalny, jeśli powiem: w dystrykcie warszawskim siedzimy na beczce z prochem i jedna iskra wystarczy, by ją zapalić, jeśli nie dostaniemy rozkazu zaatakowania niektórych organizacji".

W półtora roku później, 11 marca 1942 r. gubernator dystryktu warszawskiego, dr Ludwig Fischer, musiał stwierdzić na posiedzeniu "rządu" w Krakowie, że:

"W dystrykcie warszawskim stosunki polityczne pogorszyły się. Niewątpliwie ożywił się ruch oporu. Dlatego czułem się zmuszony wydać ostre zarządzenia. Przed 14 dniami kazałem rozstrzelać 100 Polaków, ponieważ dokonali rzeczywiście ciężkich aktów terroru... Ulokowali się w Warszawie i tu organizowali opór".

18 czerwca 1943 r. odbyła się w Pałacu Brühla w Warszawie konferencja kierowników "dystryktu warszawskiego" z udziałem gubernatora Franka. Szef "dystryktu", gub. Ludwig Fischer, złożył następujące sprawozdanie:

"W czasie od 1 stycznia 1943 do 31 marca na obszarze dystryktu warszawskiego było 1885 napadów. Jest to ilość napadów meldowanych. Liczba faktyczna jest wyższa. Niemiecki zarząd dystryktu chwilowo nie jest całkowicie panem sytuacji. Walka o produkcję w 1943 roku będzie w najwyższym stopniu zagrożona jeśli podczas najbliższych tygodni nie uda się opanować sytuacji".

Na odbytej 27 października 1943 roku w Krakowie konferencji, poświęconej sprawie bezpieczeństwa w Warszawie, generał policji Bierkamp doszedł do wniosku, że z członkami ruchu oporu rozprawić się można tylko:

"... w ten sposób, że przywódców i aktywne grupy terrorystyczne schwyta się i rozbije. W tym celu wprowadzono "streify" uliczne, które ujętych natychmiast skazują. Policja bezpieczeństwa — dodał — ma w rękach wielu ludzi, którzy w rozumieniu rozporządzenia z 10. X. jeszcze tego samego dnia dopuścili się czynów karalnych. Skazano ich na śmierć i zostaną rozstrzelani. Będzie to pokuta za przestępstwo. Nazwiska ich poda się ludności przy pomocy plakatów, które doniosą również, że ci a ci ludzie mogą oczekiwać ulaskawienia, jeśli ustaną dalsze mordy na Niemcach. Za jednego zamordowanego Niemca rozstrzela się 10 Polaków".

Wreszcie własne zdanie o Warszawie wyraził 14.XII.1943 r. podczas konferencji wojskowej w Krakowie sam "gubernator generalny" dr Hans Frank:

"Cel mój jest całkiem jasny. Dla mnie nie ważni są Polacy, których rozstrzelaliśmy, lecz ci, których używamy do pracy.

Mamy w tym kraju jeden punkt, z którego pochodzi całe nieszczęście: jest nim Warszawa. Gdybyśmy w Guberni Generalnej nie mieli Warszawy, nie mielibyśmy czterech piątych trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i

będzie ogniskiem niepokoju, punktem, z którego niepokój rozchodzi się na cały kraj".

W "pamiętnikach" Hansa Franka nie zabrakło również oceny Warszawy ze strony Adolfa Hitlera. Okazję nastąpił poufny obiad, wydany przy "Führera" na cześć Franka w Kwaterze Głównej 8 lutego 1944 r. Oto fragment stenogramu z rozmowy, która się wywiązała podczas tego obiadu:

Hitler: Pewnie najwięcej kłopotów sprawia Panu Warszawa?

Frank: Warszawa jest najczarniejszym punktem w Guberni Generalnej.

Hitler: To bardzo słusznie, że stolicą zrobiliśmy Kraków. Warszawę należy zniszczyć przy pierwszej sposobności.

A oto inny stenogram, datowany w Krakowie, 3 sierpnia 1944 r., a więc w trzecim dniu Powstania w Warszawie:

Godz. 21.10. Gubernator Generalny Frank przeprowadza rozmowę telefoniczną z generałem-pułkownikiem Guderianem i prosi go usilnie raz jeszcze o szybką pomoc dla Warszawy...

Gen. płk. Guderian: Przy pomocy najsilniejszych środków, jakimi tylko rozporządzamy, będziemy usiłowali poprawić sytuację Warszawy. Silny pułk policji odmaszeruje natychmiast z Wrocławia na Warszawę. Oprócz tego mają być wysłane dalsze oddziały policji, SS i Wehrmachtu.

Gub. Frank: Pragnę Panu jak najbardziej przekonywająco zwrócić uwagę, że sytuacja w Warszawie jest bardzo poważna.

Gen. płk. Guderian: Oświadczam Panu, że sytuacja znana jest i mnie. (...) Może Pan zdać się całkowicie na to, że uczynimy wszystko, co w ludzkich możliwościach, żeby pomóc Warszawie. Werydykt na Warszawę powinien być wykonany z całą surowością.

X X X

Werydykt Hitlera, dotyczący zniszczenia Warszawy, wykonano. Ale Warszawa znówu odżyła. A co do władców "Guberni Generalnej"... "pamiętniki" Franka kończy następujący stenogram z 17 stycznia 1945 roku:

Godz. 7 rano. Sekretarz Stanu, dr. Bühler, relacjonuje Panu Gubernatorowi przez telefon wydarzenia ubiegłej nocy.

Godz. 8.00. Alarm lotniczy.

Godz. 9.00. Pułkownik Fischer melduje Panu Gubernatorowi, że czołgi rosyjskie wdarły się w kierunku szosy Kraków-Trzebinia pod Tomaszowicami. Generał Krause kazał prosić Pana Gubernatora, aby natychmiast opuścić Kraków, ponieważ istnieje zdecydowanie poważne niebezpieczeństwo.

Godz. 13.25. Przy wspaniałej pogodzie, w świetle promieni słonecznych, pan Gubernator wraz z kolumną wozów opuszcza Wawel. Droga prowadzi przez Izdebnik, Kalwarię, Bielsko, Cieszyn, Morawską Ostrawę i Opole.

X X X

Wprawdzie pogoda była świetna, wątpliwe jednak, czy "pan gubernator" mógł być rozpromieniony, tym bardziej że droga ta doprowadziła go aż do Norymbergi... na szubienicę. A co się tyczy Warszawy, stało się z nią zupełnie tak, jak w XIX-wiecznej piosence: "Mówili: nie ma Warszawy, a tu jest Warszawa!"

ALEKSANDER PŁACZKOWSKI

PODWODNE BOGACTWA

ZENON KOSIDOWSKI

Archeolodzy zajmowali się przeważnie poszukiwaniem zabytków dawnych kultur ukrytych pod ziemią lub zagubionych w niedostępnych dżunglach Ameryki lub Azji. Wiedzano jednak od dawna, iż cenne skarby starożytności znajdują się również na dnie mórz, jezior i rzek. Wbrew pozorom niełatwo było do nich dotrzeć i dopiero w ostatnich latach, wraz z udoskonaleniem techniki nurkowania, rozwinęła się nowa gałąź poszukiwań, tak zwana archeologia podwodna.

O bogactwie tych podwodnych zabytków sygnalizowały raz po raz odkrycia dokonane przypadkowo. W roku 1900 pewien nurek grecki, zbierając gąbki w przybrzeżnych wodach Grecji, natknął się na odłamki jakiejś rzeźby. Zorganizowana ekspedycja znalazła w tym samym miejscu szczątki starożytnego wraku, a między tymi szczątkami nie uszkodzony posąg z brązu. Po oczyszczeniu znaleziska olśnionym oczom konserwatorów ukazała się znakomita rzeźba atlety greckiego, pochodząca z IV wieku przed naszą erą. W historii sztuki arcydzieło znane jest pod nazwą "Modzielnica z Antycery".

W roku 1925 inny nurek grecki, zbierając gąbki w Zatoce Maratońskiej, potrafił stopą jakąś rzeźbę z brązu. Zafrapowany znaleziskiem popłynął do brzegu po linę i wciągnął na łódź figurę młodzieńca. W ten sposób ludzkość wzbogaciła się o jedno z najwspanialszych dzieł greckiej sztuki rzeźbiarskiej, tak zwanego "Efeba z Maratonu", pochodzącego prawdopodobnie z warsztatu Praksytelesa.

Dzięki pletwom i lekkim aparatom tlenowym poszukiwania zabytków podwodnych stały się dostępne dla amatorów.

Nieprzebrane bogactwa znajdują się szczególnie na szlakach starożytnego handlu morskigo, a więc u wybrzeży Hiszpanii, południowej Francji, Włoch, Grecji, Syrii i północnej Afryki. Pletwonurkowie odkryli dotąd przeszło sto niezmiernie cennych stanowisk archeologicznych. Tak na przykład u wybrzeży Peloponezu w pobliżu miasta Petras dostrzegli oni na dnie morza ruiny starożytnego miasta. Piaszczyste dno zalegało mnóstwo kolumn w stylu jońskim, odłamki rzeźb i skorupy ceramiczne. Archeolodzy doszli do przekonania, że są to szczątki greckiego miasta Phea, które w VI wieku p. n. e. pochłonęło morze w następstwie strasznego trzęsienia ziemi.

Jednego z największych odkryć dokonał amator-pletwonurek Pietro Nicola Gargallo. Nurkując w morzu kilka kilometrów na północ od Rzymu, natknął się na ruiny wielkiego miasta. Widok, jaki ujrzał poprzez zamglony błękit wody morskiej, był wręcz baśniowy. Na głębokości dwudziestu metrów dno zalegały obrosnięte wodorostami ruiny domów, odłamki marmurowych kolumn i rzeźb, place, brukowane ulice i molo portowe. O wielkości zatopionego miasta świadczy fakt, że ruiny zajmują około dwadzieścia akrów dna morskigo. Historycy zidentyfikowali je z etruskim miastem portowym Pyrgi, którego położenie stanowiło przez wieki nierozwiązaną zagadkę historyczną.

Gargallo odkrył ponadto trzydzieści innych ruin podwodnych. Do najważniejszych należą zatopione miasta w pobliżu Wenecji oraz na północ od Neapolu, gdzie rumowiska podwodne ciągną się równoległe do brzegu na przestrzeni pięciu kilometrów. Wszystkie te zatopione ruiny nie zostały dotąd zidentyfikowane historycznie, co więcej: nikt nawet nie przeczuwał ich istnienia. Nie wiemy też, dlaczego zalało je morze. Poziom Morza Śródziemnego podniósł się od czasów ostat-

niej epoki lodowej zaledwie o dwa centymetry, nie odkryto też żadnych śladów jakiegokolwiek katastrofy żywiołowej, jak na przykład trzęsienia ziemi. O Etruskach, którzy przed Rzymianami stworzyli w Italii wspaniałą kulturę, wiemy niewiele, gdyż dotąd nie zdołano rozszyfrować ich języka. Ruiny tych miast mają więc niemałe znaczenie dla archeologii i historii. Muł na dnie morskim ma własności konserwacyjne, toteż nie można wykluczyć, że zachowały się w nim zabytki, które dopomogą do wyjaśnienia zagadki Etrusków.

Dwa lata temu amerykański pletwonurek P. Trockmorton, sporządzając podwodny fotoreportaż o pracy tureckich poszukiwaczy gąbek, odkrył u przylądka Gilidonia w Turcji najstarszy ze znanych dotąd wraków okrętowych. Na głębokości trzydziestu metrów pod powierzchnią morza, w warstwie stwardniałego osadu wapiennego, oparło się niszczącemu działaniu morza jedynie tylko kilka desek i resztki kilu. Pozostał jednak ładunek okrętu: bryły miedzi wagi przeszło jednej tony, rozmaite narzędzia i oręż wojenny z brązu. Ponadto znaleziono w skorupie wapiennej szereg innych przedmiotów, jak pieczęcie w kształcie cylindrycznym, skara-beusze egipskie, amfory pełne szklanych paciorków, maczugi z kamienia gładzonego oraz fragmenty wiklinowych wyrobów.

Na podstawie tych znalezisk archeolog amerykański prof. G. F. Bas stwierdził dowodnie, że statek zatonął w XIII wieku p.n.e., czyli na sto lat przed wybuchem wojny trojańskiej. Z położenia wraku wolno wnioskować, że płynął on ze wschodu na zachód, gdy zaskoczyła go burza morską. Prof. Bas pisze co następuje w swoim sprawozdaniu: "Jest to pierwszy relikw statku z ery przedhomeryckiej, jaki posiadaliśmy. Wszystko, co dotąd mówiło nam o wojnie trojańskiej, to były tylko przekazy literackie. Znaleźliśmy szczątki żywności załogi, zakonserwowane w wapie: pestki oliwek, kości kozy czy barana i jakiegoś ptaka, oraz resztki rozmaitych ryb".

Największego odkrycia podmorskiego dokonano w roku 1955. Chcąc docenić jego wagę, musimy przypomnieć sobie kilka faktów historycznych. Pod koniec V wieku p.n.e. w niszczącej wojnie peloponeskiej nastąpiło chwilowe zawieszenie broni. W Atenach zdobywał w tym czasie coraz większe wpływy Alcibiades, młodzienczek bogaty, wielokrotny zwycięzca na igrzyskach olimpijskich, świetny mówca, człowiek błyskotliwy, rozważny i cyniczny. Agitował on namiętnie za wysłaniem floty ateńskiej na podbój Sycylii i mimo opozycji zdołał przeforsować swój plan. Wraz z dwoma innymi Ateńczykami mianowano go dowódcą floty liczącej przeszło sto okrętów bojowych i wiele statków pomocniczych.

W maju 415 r. p.n.e. ekspedycja zaborcza ruszyła w drogę. W chwili odbijania od brzegu Atenami wstrząsnęła wiadomość, że ktoś uszkodził w nocy wszystkie posągi Hermesa rozstawione po ulicach. Wrogowie wyprawy oskarżyli o świętokradztwo Alcibiadesa, ponieważ jednak nikt nie wniósł formalnego aktu oskarżenia, pozwolono mu opuścić miasto.

Flota pożeglowała do Sycylii i przystąpiła do oblężenia Syrakuz. Kampania miała zrazu przebieg pomyślny dla najeźdźców, ale pewnego dnia przybył z Aten okręt z rozkazem aresztowania Alcibiadesa pod zarzutem świętokradztwa. Alcibiades wsiadł na okręt dobrowolnie, ale w czasie powrotnego rejsu uciekł z pokładu i znalazł azyl w Sparcie.

Tymczasem flota, pozbawiona swego najzdolniejszego admirała, poniosła klęskę. Wojenska ateńska schroniła się na ląd i wpadły w ręce wojowników syrakuzzańskich. Wodzowie zostali straceni, a żołnierze w liczbie siedmiu tysięcy piechoty i marynarzy, stanowiący kwiat młodzieży ateńskiej zostali zapędzeni do pracy niewolniczej w kamieniołomach sycylijskich.

Od chwili owej klęski minęło 2.370 lat i nikt nie śmiałby przypuszczać, iż mogły zachować się widome szczątki pamiętnej bitwy morskiej. A jednak stało się to, co nawet w najśmielszych marzeniach trudno było sobie wyobrazić. Znalezione bowiem zbutwiałe resztki niefortunnej floty ateńskiej, ślady 119 wraków zanurzonych głęboko w podmorskim mule. Prace nad ich wydobywaniem potrwały dobre kilka lat, ale już teraz można śmiało powiedzieć, że będzie to znalezisko o wyjątkowej wartości archeologicznej.

(Skrót redakcyjny z "Przeglądu Kulturalnego").

Czy thalidomida zwalcza raka?

Wszyscy mamy jeszcze w pamięci rozgłos, który wywołała na całym świecie afera środka uspokajającego, thalidomidu. Środek ten, zażywany przez kobiety w pierwszych miesiącach ciąży, uważany jest powszechnie za sprawcę zniekształceń i nieprawidłowego rozwoju płodu w łonie matki. Każdy wypadek rodzenia się potworków bez rąk i nóg przypisywany jest thalidomidzie. Toteż wycofana ona została ze sprzedaży we wszystkich krajach.

Niektórzy uczeni, którzy zajęli się tym wypadkiem wpadli na oryginalny pomysł. Jeżeli thalidomida jest istotnie odpowiedzialna za deformacje noworodków to tylko ze względu na swoje niecodzienne właściwości atakowania szybko rozrastających się komórek. Otóż wiadomo, że tkanki rakowate, podobnie jak tkanki płodu, mają właściwość gwałtownego rozrastania się dzięki szybko rozwijającym się komórkom. W takim razie niszcząc komórki płodu thalidomida powinna również niszczyć komórki tkanki nowotworowej.

Badania nad leczeniem raka thalidomidą przeprowadza dr Lenz w Hamburgu i wyniki podobno są zachęcające. Ale naukowcy, jak zawsze, gdy chodzi o nowe odkrycia medyczne, są pełni sceptycyzmu.

Wysiannik Paris-Match przeprowadził w tej sprawie rozmowę ze znakomitym specjalistą chorób nowotworowych dr Winklerem z Bonn.

Dr Winkler stwierdził przede wszystkim, że środki chemiczne posiadające właściwość niszczenia szybko rozradzających się komórek znane są od dawna kołom lekarskim. Środki te nazywa się cytostatycznymi. Promienie Roentgena mają np. właściwości cytostatyczne. Takie sam efekt wywołują również niektóre

Dok. na str. 9

KULISTY FENOMEN

... Nadchodzi burza!... na Boga! — zamknij okno, z przeciżgiem wlatuj pioruny!... Pamietam jeszcze te przestrogi z dzieciennych lat. Przewrazliwienie rodzicow?... Ludowy przesad?...

Jak o zelaznym wilku sluchalem z rozpalona twarza historii o zeglujacych powietrzem "piorunach", wslizgujacych sie przez okno, komin, uchylone drzwi, na oczach przerazonych mieszkancow zabijajacych najblizszych; o ognistej kuli, ktora wpelzla do kuźni, bez pospiechu przetoczyla sie po kowadle, przedstawionej doń kosie, brzegu szyny, wydostala na zewnatrz, tam eksplodowala, pozostawiajac swad — jakby siarki i zweglone w polowie drzwi.

W miare odbywania technicznych studiow, poznawania zjawisk elektrycznych, tracilem wiarę w slusznosc przestrogi i prawdziwosc zastyszanych relacji...

Co bowiem przedstawia soba zwykly wyładowanie atmosferyczne, zwane powszechnie piorunem? Jest gwałtownym przeplywem miliardow - miliardow - mil... elektronow 1) między ziemią a chmurami, przy zaistnialej różnicy potencjalow elektrycznych rzędu setek milionow woltow; w formie błyskawicy 2) widzimy swietlistą droge przebiegu tych supermikroskopijnych ladunkow z ziemi do chmur; — pioruny wiec uderzaja w chmury, nie w ziemie.

Nature zwyklych wyładowan atmosferycznych odkryl juz dwa wieki temu Benjamin Franklin, dokonujac w 1753 r. wynalazku piorunochronu. Wiedza o tym typie wyładowan rozszerzyla sie i ugruntowala, a w kazdym z laboratoriow wysokich napieć można dziś uzyskac je w sposob sztuczny; ale — w tym wszystkim nie ma miejsca na samoistną, swobodnie unoszaca sie w powietrzu ognistą kule.

Teraz mala rewelacja: ostatnio zebrane obserwacje, pomiary i doswiadczenia potwierdzaja realnosc zjawiska, ktore przez wieki bylo najbardziej tajemniczym i przerazajacym fenomenem natury. Okreslono je mianem "pioruna kulistego", jako ze wystepuje w czasie burzy, przy zwyklych wyładowaniach atmosferycznych i jest jak piorun groźne. Moim zdaniem, sama nazwa jest malo szczesliwa, oraz nieco mylaca, bowiem w powszechnym pojeciu zwyklo sie kojarzyc piorun ze zjawiskiem b. gwałtownym i krótkotrwalym, podczas gdy piorun kulisty porusza sie wzglednie wolno, przecietnie 2 m na sekunde (równie

nie szybkości wydłużonego marszu), a trwa niekiedy — przez okres 15 minut. Zanim podam próby wytłumaczenia zjawiska 3) jeszcze chwila opisu.

Francuski badacz, Kamil Flammarion, w swojej książce pt. "Pioruny i błyskawice" podaje opisy okolo 50 autentycznych przypadkow wystapienia piorunow kulistych, nierzadko bardzo tragicznych w skutkach. Np. 27 lipca 1789 r. w Feltri podczas burzy ognista kula wielkości kuli armatniej wpadla do wielkiej sali gromadzacej 600 osob i eksplodowala tam, zabijajac 10 i raniac 70 uczestnikow zebrania.

Latem 1938 r., na lotniczej trasie BOAC do Iraku, wg relacji kapitana pilota — w momencie przebijania gestych chmur — przez otwarte okno kabiny samolotu wpadl kulisty piorun — opalajac brwi i pas pilota, nieszkodliwie przemierzyl przednia kabine pasazerska, przez uchylone drzwi przeszedl do nastepnej, tam dopiero eksplodujac.

W sierpniu 1961 r. udalo sie uzyskac prawdopodobnie pierwszą fotografie 4) posredniej formy wyładowania atmosferycznego, miedzy zwyklym piorunem — a piorunem kulistym, tzw. "rozanicowe wyładowanie bez-elektronowe", o wygladzie trzech swietlnych tworow gruszkowatego kształtu.

Skrupulatna analiza relacji, zbadane efekty, uzyskane fotogramy, pozwolily na dosc obiektywny opis zjawiska. Tak wiec — piorun kulisty uważa sie za pewien zbior pobudzonych elektrycznie czastek gazu i za skutek bezelektrodowego wyładowania elektrycznego, o wygladzie czerwono swietlajacej kuli z niebieskawą otoczką. Calosc srednicy najczesciej 10 cm, jakkolwiek znane sa pioruny kuliste o srednicach od 1 do 150 cm. W jego sasiadztwie daja sie styszec pewne osobliwe brzczenie, czy syk. Powstanie pioruna kulistego poprzedza najczesciej uderzenie zwyklego pioruna, ale moga one tez splywac od podstawy chmur, unosic sie swobodnie w powietrzu, czy trwac przyczepione do okreslonych przedmiotow. Glna — bądż z cichym trzaskiem, bądż gwałtownie eksplodujac, pozostawiaja ostro pachnaca mgielkę o niebieskawym odblasku. Czas trwania zjawiska zawiera sie w przedziale od czesci sekundy do 15 minut.

Obecnie rozroznia sie dwie postaci piorunow kulistych: unoszace sie wolno w powietrzu, tzw. "swobodne" oraz przylegajace nieruchomo czy toczace sie po okreslonych przedmiotach (przewodnikach elektryczności) — "zwiqzane".

Szczegolnym upodobaniem "swobodnych" piorunow kulistych ciesza sie pomieszczenia zamkniete, np. mieszkalne, do ktorych wlatuja przez otwarte okno, drzwi, przewod kominowy; poruszaja sie dosc wolno, unikajac kontaktu z materialem dobrze przewodzacym elektrycznosc, ale w pewnym momencie ze "swobodnej" postaci moga przejść w postać "zwiqzaną", kierujac sie gwałtownie i przylegajac do jakiegos przedmiotu przewodzacego elektrycznosc i dalej toczac sie po nim az do chwili eksplozji. Przy toczeniu daja sie zaobserwować powazne efekty cieplne, np. bardzo ciężkie oparzenia skóry, czesto konczace sie smiercia przy przejściu pioruna pod ubraniem ofiary.

Obie postaci piorunow kulistych sa wzajemnie odwracalne, a spadajac z chmur — najczesciej eksploduja z chwila dotknięcia ziemi.

Bardzo cenną obserwację zarejestrowano w 1936 roku, w Dorstone (šrodkowa Anglia): — piorun kulisty wielkości pomaranża wpadl do naczynia z 20 litrami wody, gotujac ja w ciagu paru minut; — po kwadransie woda byla jeszcze zbyt goraca na wlozenie ręki. Obliczenia prof. Goodlet'a okreslily energie posiadana przez piorun na zawierajaca sie w granicach 1 - 3 kilowatogodzin, co juz jest wartoscią bardzo dużą.

Naukowcy sklonni sa okreslac piorun kulisty jako zbiorowisko "plazmy" z własnym polem magnetycznym. Dla lepszego zrozumienia — kilka slow o samej plazmie.

Plazma jest zjonizowanym gazem, inaczej — zbiorowiskiem naladowanych elektrycznie czastek i atomow oraz wolnych elektronow. Powszechnym widokiem plazmy jest swietlacle wnetrze lampy neonowej (neonu) lub zwyklego plomienia.

Juz w 1600 r. William Gilbert odkryl, ze naladowana elektrycznie kulka metalowa traci swój ladunek w pobliżu plomienia, tym samym wykazal, iz ogrzany gaz przewodzi prad elektryczny. Obecnie wiemy, ze silnie ogrzany gaz jest jednoczesnie zjonizowany, jest plazmą mogaca magazynowac pokaźne ilosci energii.

Te własności plazmy w powiazaniu z wykorzystaniem skojarzonych zjawisk magnetycznych — rzadzacych jej zachowaniem — pozwolily na zbudowanie (m. in. w Polsce) tzw. generatorow prądu elektrycznego systemu MHD (efekt magneto-hydro-dynamiczny), gdzie przeplywajacy silny strumień zjonizowanego gazu w okreslonym polu magnetycznym jest źródłem prądu elektrycznego.

Wracajac do naszego kulistego pioruna — w sposob naukowy zwyklo sie go okreslac jako "sferyczny plazmoid", czyli pewną kulistą objętość zjonizowanego gazu, o zewnetrznej strefie zimnych jonow i elektronow, ktora to warstwa zapobiega stracie energii wewnetrznej plazmy, a utrzymywana jest przez silne pole magnetyczne samej plazmy (wg Harlanda). Wedlug hipotezy prof. Piotra Kapicy (z roku 1955), piorun kulisty powstaje w miejscu duzej koncentracji fal elektromagnetycznych o właściwej dlugosci (rzędu 10 cm); proces rozpoczyna sie bezelektrodowym wyładowaniem elektrycznym, "obrasztajacym" plazmą do srednicy równej ¼ dlugosci fali, "tworzacej" wyładowanie.

Hipoteza znalazla potwierdzenie w praktyce i juz dziś w laboratoriach wytwarzane sa syntetyczne — sztuczne kuliste pioruny. Uzyskano tam bardzo ciekawe dane o "samozachowawczych" własnościach tych tworow oraz ich silnej organizacji wewnetrznej. Wyrzucone np. naprzeciw sobie, odbijaly sie jak bilardowe kule, po przekroczeniu pewnej szybkości zderzenia rozpadaly na szereg drobniejszych kulek itd.

Dalsze rozeznanie zjawiska moze doprowadzić do przewrotu w metodach magazynowania energii, przekazywania jej na odleglosc, ba... jesli nie zwodzi mnie intuicja — do zrewolucjonizowania pojęcia o budowie materii.

Czy przypadkiem natura nie daje nam w piorunie kulistym jakiegos najwierniejszego makromodelu atomu, uzasadniajacego faloową budowę materii? Tworu o zamknietym pierścieniu fal stojacych, gdzie wystepujace šrodkowisko plazmowe ma znaczenie marginesowe i czy — jesli zmniejszymy dlugosć fal tworzacych teraz plazmoidy — nie uzyskamy materii z energii, z fali?...

W głowie sie kręci...

Niezależnie, czy zjawisko kryje w sobie szansę wielkiego odkrycia, czy... piramidalnej bedury, ważne jest, że... niepokoi, przywraca slusznosc rodzicielskim napomnieniom, a rzekomemu przesądowi — mądrość.

1) elementarny ladunek elektryczny.

2) przy tzw. cichym "wyładowaniu miotelkowym" można niekiedy zauwazyc swietlistą "miotelkę", wychodzaca z metalowego ostrza piorunochronu.

3) wg "Discovery" V-XXIII — Nr. 11.

4) autorzy fotogramu — Mathias i Buchshaur.

Janusz Tomaszewski
(Przedruk z "Zycia Warszawy" z nieznacznymi skrókami).

Czy thalidomida...

Dok. ze str. 8

gazy trujace stosowane w czasie pierwszej wojny światowej. Prof. Domagk, laureat nagrody Nobla, wykryl wiele tych substancji.

Gdyby zdaniem prof. Winklera, thalidomida posiadala własności cytotatyczne to być moze mogłaby być pomocna przy zwalczaniu raka. Ale jak dotad nie mamy całkowitej pewności, że to właśnie thalidomida używana w pierwszych miesiacach ciąży wywołuje zniekształcenie noworodków. Na razie nie ma na to niezbitego dowodu, są tylko domniemania.

Kobiety używaly i używaja w czasie ciąży tyle innych šrodkow chemicznych... A moze deformacje noworodków przypisac należy zatruciu atmosfery przez wybuchy atomowe?

W kazdym razie lepiej nie cieszyć się zawczasu. Juz tyle razy ogłaszano wykrycie cudownego šrodka przeciwrakowego i tyle razy czekalo chorych i opinie publiczną gorzkie rozczarowanie.

S. Biliński

Sylwestrowe Wspomnienie

ANDRZEJ OSIECKI

Są chwile, które pamięta się przez całe życie: pierwszy bal, pierwsze polowanie, pierwszy pocałunek skradziony podstępnie partnerce w czasie szkolnej zabawy. W starszym wieku pamięta się także pierwszą pensję, kupno pierwszego samochodu, czasem — i tak bywa — ślub. Te chwile są raczej przyjemne, lub powszechnie za takie uważane. Ale bywały nieraz momenty również niezapomniane, choć bynajmniej nie zasługujące na określenie przyjemnych.

Pamiętam doskonale pierwszy wojenny "Sylwester". Ten z 1939 na 1940 rok. Zima była wtedy tęga i śnieżna. Zaledwie kilka dni przed tym wróciłem do domu po kilkumiesięcznej tułaczce i pobycie w obozie jenieckim. Na nogach miałem, resztki tego, co zwykle nazywa się butami, a na grzbiecie szczątki wojskowego płaszcza. Resztę garderoby uzupełniłem po drodze pożyczonymi od chłopca pod Garwolinem lianiami... "niewymownymi" i taką, naturalnie zupełnie nie białą, koszulą. Pierwszą więc sprawą po powrocie do domu było — jeśli nie liczyć sutej kolacji — uroczyste spalenie dotychczasowej powłoki i przywdzianie jedynego, ocalałego z wojennego rabunku ubrania i czarnych lakierów — pierwszych lakierów w życiu, kupionych na krótko przed wojną u warszawskiego szewca, Kaczyńskiego — Chmielna 24.

W tym tymajmniej nie praktycznym, ale całym i wręcz wytwornym stroju, spełniałem wiele domowych obowiązków. Codziennie o świcie, w granatowym garniturze i lakierkach, z szyją owiniętą szalikiem, wędrowałem do obory po mleko na potrzeby kuchni. W takimż stroju przeglądałem zakarmarki kurnika ufny, że wystraszone wrześnieową kanonadą kury szybciej niż zazwyczaj będą spełniać swe aprowizacyjne obowiązki. Także wyrabianie masła, które wówczas należało do najcenniejszej waluty obiegowej, a w której to sztuce doszedłem szybko do perfekcji, spoczywało na mojej głowie. Na brak zajęcia nie mogłem więc narzekać. Na brak emocji tym bardziej szczególnie wtedy, gdy któryś z lakierków (wygodnie były, psia-krew!) zostawał w śnieżnej zaspie, a ja wędrowałem dalej z wiadrzem mleka, lub skrzynką masła. Po Bożym Narodzeniu do moich obowiązków doszedł jeszcze jeden, ale o tym mowa będzie za chwilę. Narazie, kilka wyjaśnień.

Otóż gospodarstwo moich rodziców w pow. brzezińskim w woj. łódzkim, leżało dokładnie na granicy t. zw. generalnej gubernii i Trzeciej Rzeszy. Pola należały do gubernii, zabudowania do Rzeszy. Z tego tytułu byliśmy stale narażeni na odwiedziny żołnierzy Grenzschtuzu, którzy gęsto patrolowali okolicę i wylapywali osoby usiłujące przejść nielegalnie granicę. Osób takich było bardzo wiele. Głównie z Łodzi i ze Zgierza, skąd uciekali przed hitlerowskimi prześladowaniami Żydzi i polska inteligencja. Nie było dnia, aby nie zjawił się u nas przypadkowy gość, który wypocząwszy przy ciepłym piecu, wypytywał o możliwości przejścia granicy. Uzyskawszy żądane informacje, uciekał nocą do Warszawy. Dzięki znajomości terenu oraz usypianiu czujności grenzschtuzów przy pomocy maślanych łapówek, rodzice moi zdołali pomóc nie jednej osobie. Gdy wraz z bratem wróciliśmy do domu, przejeżdżaliśmy "kierownictwo" punktu przerzutowego, przy czym moim obowiązkiem, jako że umiałem dobrze mówić po niemiecku, było, w niewaligicznym momencie, składanie wizyty w kwatery grenzschtuzów i zachęcanie ich do skosztowa-

nia "świeżego" masła, które zawsze miałem przy sobie. Jak można się domyśleć, Niemcy nigdy nie odmawiali i nie jeden patrol wyszedł w teren z kilku lub kilkunastominutowym opóźnieniem.

Na dwa dni przed Sylwestrem dowiedzieliśmy się, że ze Zgierza "wieje" grupa inżynierów i techników tamtejszej fabryki chemicznej "Boruta". Byli to przeważnie nasi znajomi, bowiem w tej fabryce odbywałem w 1938 r. międzysemestralną praktykę. Po nawiązaniu kontaktu, ustaliliśmy, że najwygodniej będzie przejść granicę w noc sylwestrową, licząc na osłabienie czujności Niemców pijących "za zwycięstwo i Führera". Na wszelki wypadek matka przygotowała wzmocnioną porcję masła, a ojciec przywiózł z gorzelni antałek okowity, którą zaprawiło się miodem.

Punktualnie o godz. 17 w Sylwestra usłyszeliśmy pukanie do okna, a po chwili weszło do mieszkania kilka opatulonych po uszy postaci. Był wśród nich m. in. młody chemik, nasz daleki kuzyn, inż. A. Szpyro, który potem zginął w Wiedniu, był dr. Stołyhwo — obecny wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i kilku innych, których nazwisk nie pamiętam. Wszyscy panowie byli w wizytowych garniturach i czarnych półbucikach, bowiem w razie niespodziewanej wizyty grenzschtuzów mieliśmy udawać, że odbywa się właśnie noworoczna uroczystość w rodzinnym gronie. Okowita i masło miały dokonać reszty. Zjedliśmy skromną kolację, wypiliśmy "na szczęście" po kieliszku wina i czekaliśmy północy, aby w kulminacyjnym punkcie zabawy, której odgłosy już docierały nas z grenzschtuzowskich koszar, ruszyć w drogę.

Wreszcie zegar zaczął wybić północ. Pospiesznie składaliśmy sobie życzenia. Za oknem rozległy się karabinowe salwy pijanów "szkopów". Uciekinierzy zakładali palta, wtykali do kieszeni przygotowane przez matkę wałówki. Nagle usłyszeliśmy gwałtowne

dobijanie się do drzwi. Zmartwieliśmy. Ktoś zgasił światło. Przez chwilę w pokoju panowała martwa cisza. Ojciec pierwszy wstał z krzesła, ostrożnie uchylił okno i wyjrzał na dwór. Słyszeliśmy, że z kimś rozmawiał. Potem szybko zatrzęsł okiennicę i krzyknął "Wszyscy uciekajcie, chłopcy także..." Nie zrozumiałem o kogo mu chodziło, mówiąc "chłopcy". Ale matka już owijała mi szyję szalikiem, a brat pospiesznie wciskał na plecy ojcowską jesionkę. Po minucie byliśmy na dworze, a po kwadransie — na terenie generalnej gubernii.

W dwa lata później, gdy w czasie jednej z partyzanckich wypraw dotarłem do ówczesnego miejsca zamieszkania rodziców, dowiedziałem się szczegółów owego sylwestrowego alarmu. Wywołał go, i to słusznie, znajomy ojca, volksdeutsch z pobliskiej wsi Tymianka. W Sylwestra ok. godz. 23 zajęchali na jego podwórzu trzy samochody gestapo z Łodzi. Pytali o drogę do naszej posiadłości. Ponieważ samochody nie mogły sforsować zasp, zażądali od miejscowych Niemców przygotowania podwórza konnych. Nasz sąsiad nazwiskiem Probek, który zresztą stale podkreślał, że jest obywatelem polskim pochodzenia niemieckiego, za co kilkakrotnie siedział w więzieniu gestapo — wskoczył na oklep na konia i przybiegł nas ostrzec.

Finał tej całej historii był na szczęście pomyslny. Wędrując polami i lasami, dotarliśmy w Nowy Rok rano do Domaniewic (30 km. od domu), a stamtąd znajomy proboszcz odesłał nas końmi na stację do Łowicza. Wieczorem byliśmy już w Warszawie. Gestapowcy zajęchali do domu w kilka minut po naszej ucieczce. Wyypywali ojca o nas, ale nie aresztowali nikogo i zabrawszy masło i okowitę odjechali nad ranem. Na ujemnym koncie owego Sylwestra zapisałem odmrożone nogi i uszy oraz zgubiony prawy lakierek. Na koncie dodatnim figuruje możliwość wielokrotnego zrewanżowania się sylwestrowym intruzom, czego nie omieszkalem uczynić w latach okupacji.



Grupa kolegów ze wsi Istebna w Beskidzie Śląskim.

W Kopalni Węgla w São Jerônimo

Do Minas São Jerônimo płynęło się niewielkim statkiem rzeczny, kursującym codziennie pomiędzy kopalnią węgla, a Porto Alegre. Statek wiół się krętą rzeką ciągnąc barki naładowane węglem. Z powrotem wracał pusty. Kto chciał wsiadać na statek bez pytania i żaden członek załogi nie badał po co się tam znalazł.

Po nocnym deszczu dzień się zrodził pochmurny, niebo całe było zasnuwane szarą płachtą. Po kilku dniach upalnych i burzy zrobiło się chłodno, przydała by się jesienka.

Ludziom wybierającym się w podróż w ten zimny i ponury ranek zdawał się towarzyszyć smutek. Z sąsiedniego statku płynęła z patefonu melodia tanga; słuchałem jej chciwie.

Tuż koło mnie rozłożyła się na pokładzie rodzina Mulatów. Była tam młoda dziewczyna o dużych czarnych oczach. Zgrabna, cienka w pasie, poruszała się z wdziękiem i pewną niedbalością.

Cichy, pochmurny dzień, smutne tango, czarne oczy dziewczyny — składały się na obraz w miarę sentementalny i romantyczny. Oddałem się rozmyślaniom podczas, gdy statek odbił od brzegu, pomrukując głucho, bez sygnału.

Ukazały się brzegi porośnięte gęsto krzewami, nie kończące się, a nad nimi niebo ołowiane, ponure. Od czasu do czasu w wyrwie pomiędzy zaroślami pojawiały się kolorowe domki lub szalasy kryte trzcina.

— Czy nie uważasz — powiedziałem — że ten smutny krajobraz ma w sobie coś swojskiego, przypomina Wisłę?

Bolesław Szymczyk ocknął się z zadumy. Płynęliśmy już długo, a nie odezwał się ani razu. Ale dźwięk słowa: "Wisła" pobudził go do mówienia. Co też żona powie kiedy przyjedzie, czy spodoba się jej ten kraj? Wyjeżdżając z Polski pozostawił ją na opiece krewnych i dopiero niedawno wystąpił sztykartę.

Kopalnia São Jerônimo przypominała mi cokolwiek osadę Butiá. Taki sam aż po horyzont rozległy step i takie same baraki. Ludzie też podobni — zbieranina z całego świata.

Z łatwością znalazłem kilku przyjaciół i znajomych z Rio Grande. Był tam przede wszystkim Marian, swój człowiek, który przyjął nas z otwartymi rękami do swego pokoju, zapewniając, że miejsca wystarczy dla wszystkich i że razem będzie weselej.

— O pracy porozmawiamy jutro — powiedział. — Napracujecie się jeszcze dosyć, aż wam się rodzona babka przyśni.

Było też tej pracy aż nadto. I właściwie poza nią — nic. Wolny czas spędzało się na pijatyce i śpiewaniu. Pamiętam święta Bożego Narodzenia. Pierwszego dnia wybraliśmy się całym towarzystwem nad rzekę. W miłym chłodku jadło się kielbasę z chlebem i piło wino, pewnie też za dużo, bo kiedy się podniosłem kręciło mi się porządnie we łbie. Nie wiadomo po kiego diabła przypomniałem sobie, że o szóstej po południu wydają kolację w kantine — była już zapłacona i żal mi się zrobiło, żeby miała przepaść.

Koledzy chcieli mnie zatrzymać, ale nie dałem się namówić. Z początku szło mi się dobrze, aż po pewnym czasie świat się cały zakółsał. Co się stało na rany Boga? Trzęsienie ziemi? Step unosił się do góry raz z jednej, raz z drugiej strony, a ja biegłem po środku, żeby się nie

przewrócić. Wtoczyłem się wreszcie do pokoju i upadłem jak kłoda na łóżko. Czułem się fatalnie. Spadałem w jakiś lej bez dna, a wszystkie wnętrzności wylazły mi przez gardło.

Ciemno było kiedy się obudziłem. Wyszedłem na dwór. Panowała bezwzględna cisza. Zwykle o północy ludzie wychodzili z kina i jeszcze długo słyszał było gwar rozmów. Teraz nie widać było żywej duszy, tylko gwiazdy mrugały na niebie. Uprzątnąłem sobie, że musi być daleko po północy i że pierwszy dzień świąt minął bezpowrotnie.

W kopalni São Jerônimo baraki były niektóre murowane, a niektóre drewniane. Mieszkali tam samotni mężczyźni. Baraki nie odznaczały się komfortem, gnieździły się w nich pluskwy. Dziwiłem się nieraz skąd się bierze tyle tego robactwa. Wystarczyło podnieść siennik. Siedziały jak nalepione jedna przy drugiej. Doprowadzało mnie to z początku do irytacji. Później się przyzwyczaiłem i nawet nie czułem we śnie jak piły spokojnie moją krew.

Nikt się nie troszczył, żeby tę plagę zlikwidować. Zarząd kopalni martwił się tylko o to, aby jak najwięcej węgla wydobyć spod ziemi. Zarządzenia socjalne nie były przestrzegane. Za to panowała zupełna swoboda. Bez przeszkód można było każdemu dać w mordę albo samemu oberwać. Wyglupianie się pod wpływem alkoholu stanowiło uciążliwe widowisko, darmowy teatr. W odwiedzinach do samotnych mężczyzn przychodziły często piękne i niezbyt piękne młode i starsze niewiasty. Nikogo nie obchodziło skąd przychodziły. Nikt ich nie zapraszał i nikt się ich wizytami nie gorszył.

Zagładały do mieszkań, ubolewały nad losem samotnego mężczyzny. Ofiarowały swoje usługi, obiecując gotować, prać bieliznę i rozveselać życie biednego człowieka. Wystarczyło zaprosić taką rusalikę do mieszkania. Bez kłopotów i starania się o dokumenty miało się żonę. Potem ten łatwy sposób zawierania małżeństwa kończył się nieraz fatalnie. Zwykle po pewnym czasie dochodziło do nieporozumień. Na żądanie przygodnej małżonki interweniowała niekiedy policja. Gdy sprawa się komplikowała amator kobiecych wdzięków ułatniał się.

Pracując na nocnej zmianie miałem cały dzień wolny i mogłem się dowoli waleśać po miasteczku. Pewnego razu przechodząc koło jednego z baraków zatrzymałem się. Jakaś kobieta śpiewała piękną piosenkę rosyjską. Zajrzałem przez uchylone drzwi. Błysnęła białka oczu na zupełnie prawie ciemnej twarzy. Młoda kabukiarka przerwała śpiew i spojrzała na mnie zalotnie. Prasowała.

Pierwsze dni stycznia były bardzo upalne. Ze stepów buchał żar. Ludzie spodziewali się deszczu. Jeżeli ktoś pragnie mocnych wrażeń niech uda się na szeroki, rozległy step, gdzie drzewa nie wstrzymują szalonego pędu wiatru i niech stanie się świadkiem burzy.

Pewnego dnia, gdy już prawie zatykało dech w piersiach nad wieczorem ukazała się na widnokręgu czarna chmura. Ciemno-fioletowe tło przecinały zygzaki błyskawic. Wokół chmury olowiano-białe obromowanie tworzyło kłębiący się wał. Widok ten przejmował grozą. Tak będzie chyba wyglądało niebo w końcu świata.

Kiedy już chmura zajęła pół nieba pojął wiatr. Lżejsze przedmioty fruwały.

Nastąpiła ciemna i straszna noc. Szalone wycie wiatru głuszyło grzmoty. Potworny ryk zbliżał się. Można było krzyczeć i nie słyszało się co ktoś do nas mówi. Nagle lunęły strugi wody jak z cebra. Lalo i lalo i nie mogło się wypadać. Po godzinie sypanął drobny grad jak kasha.

Zbliżała się jedenasta wieczór. Czas już było iść do roboty na nocną zmianę. Mocne grzmoty, od których drżała ziemia, przewalały się. Wiał jeszcze tylko silny wiatr i wciąż skośnie drobny deszcz.

Wzięliśmy lampy i poszliśmy do szybu. W drodze spotkała nas nowa ulewa i splukała do nitki.

Pod ziemią nie czuło się grozy burzy. Kiedy po ośmiogodzinnej pracy wyjechaaliśmy na świat deszcz przestał już padać, gwizdał jedynie gwałtowny, zimny wiatr. Byliśmy mokrzy od potu i czarni od pyłu węglowego.

W pobliżu szybu znajdowała się łazienka. Był to niewielki budynek o trzech ścianach. Z umieszczonej u góry żelaznej rury lała się cienkim strumieniem zimna woda. Do tej nowoczesnej łazienki tworzył się długi rząd nagich ludzi, pragnących się umyć. Wewnątrz mieścił się tylko jeden, a reszta, około trzydziestu brudasów, czekała swojej kolejki trzęsąc się z zimna. Rozgrzani w dusznej kopalni musieliśmy skakać jak wariaci, żeby nie skostnieć z chłodu. Niektórych wprowadzało to we wściekły humor. Tańczyli sambę, tango lub kozaka, co kto umiał.

Kiedy wreszcie dostawałem się pod prysznic szybko zmywałem z siebie czarną farbę i wyrwiałem do domu.

Po pewnym czasie praca w kopalni zaczęła mnie nudzić i gdy dwóch moich kolegów zaproponowało wyjazd do Porto Alegre porzuciłem z przyjemnością ten bałagan. Po całonocnej podróży statkiem, ciągnącym barki z węglem, o brzasku dnia znalazłem się znowu na bruku Porto Alegre.

Stefan Pochwatka

Jeszcze o wyspie Tristão da Cunha

Czytelnikom naszym, którzy zapoznali się z reportażem A. Gawara p. t.: "Ucieczka od cywilizacji" możemy zakomunikować najnowszą sensację z wyspy Tristão da Cunha.

Ostatnio prasa całego świata doniosła, że helikoptery Związku Radzieckiego wylądowały 5 stycznia na Tristão da Cunha i zabrały stamtąd dla zaprowadzenia statków wielorybnych, znajdujących się na połowach na Południowym Atlantyku, wszystkie kozy i kury pozostawione tam przez wyspiarzy po wybuchu wulkanicznym w r. 1961.

Niektóre dzienniki dały przy tym do zrozumienia, że Związek Radziecki może być zainteresowany wyspą jako bazą dla wyrzutni rakietowych na Południowym Atlantyku. Ale wyspa Tristão da Cunha wciąż jeszcze należy do Wielkiej Brytanii i pomysł tych dzienników uważać należy jedynie za kaczkę dziennikarską.

(ag)

SERCE GULGOWSKICH

Wśród lasów, nad wielkim jeziorem zwanym "Kaszëbsczym morzem" w powiecie kościerskim, przycupnęły chaty ubogiej wioski Wdzydze. Nie było w tej wiosce ani światła, ani sklepiu z artykułami pierwszej potrzeby, żadna też droga nie prowadziła stąd do miasta. Dookoła tylko lasy, piaski i woda. I bieda. Ludzie w sezonie emigrowali stąd do Meklemburgii i Prus Wschodnich, a za zarobione pieniądze przeżywali zimę.

I oto w 1896 roku przybywa do Wdzydz młoda para nauczycielska — Izidor i Teodora Gulgowscy. Młody nauczyciel, ledwie oporządził się jako tako w wynajętym pokoiku, a już zaczął myśzkować po chatach i znosić różne stare przedmioty domowego użytku. Ludzie kręcili głowami:

— Na co to szkolnemu?

Szkolny, czyli nauczyciel, wędrował od wioski do wioski i coraz więcej starych rupiec znosił do swojego mieszkania, zapelniał i opowiadał ludziom, że we Wdzydzech powstanie muzeum!

Tymczasem pani Teodora zwołała do siebie dziewczętą ze wsi i zapytała je, czy pragną zarabiać na życie na miejscu, to znaczy we Wdzydzech.

— Na mółu dëtczy zarobić? Chôta pióh przedmò! — szczyli dziewczyny, co jednak nie zraziło Gulgowskiej. Pokazała dziewczętom motywy kaszubskie, wymalowane na starych skrzyniach znoszonych przez jej męża i rysunki haftów odnalezionych w skarbcu klasztornym w Żarnowcu, gdzie proboszczem był brat pani Teodory ks. Fettke.

Dziewczętom zapaliły się oczy, a pani Teodora objaśniała im motywy:

— To jest motyw serca, a to lilia, to kwiat tulipanu, a to róża co pomyślność wróży... To wszystko musimy przetworzyć na serwetkach, obrusach, poduszkach...

Lody zostały przełamane. Wdzydze pomału stawały się centralnym ośrodkiem sztuki kaszubskiej. Powstał zespół haftu kaszubskiego, zespół tkacki, plecionkarski i ceramiczny. Wyroby szły do Kościerzyny, do okolicznych dworów, pomału zaczęły ozdabiać mroczne izby w kaszubskich chatach. Ludzie znaleźli zajęcie i znośną zapłatę.

Tymczasem Izidor Gulgowski zakupił w 1906 r. starą kaszubską chatę z podcieniem wraz z kawałkiem placu na stromym cyplu wrzynającym się w Jezioro Wdzydzkie. W chacie urządził muzeum etnograficzne, a zebrane eksponaty zaczął opracowywać naukowo. W 1911 roku wydał pracę pt. "Von einem un-

bekannten Volke in Deutschland" a później, w 1924 r. ciekawą rozprawę pt. "Kaszubi". Pierwsza praca Gulgowskiego zwróciła uwagę naukowców na Wdzydze, a dr Aleksander Majkowski uważał tę wioskę za miejsce, w którym "zabłysła zorza wskrzeszenia kaszubszczyzny". Nic więc dziwnego, że Majkowski prowadził do Wdzydz całe wycieczki młodzieży i starszego społeczeństwa i w ten sposób propagował sztukę, która w tej ubogiej wiosce tak pięknie się rozwinęła.

W 1925 roku zmarł Izidor Gulgowski. Siedem lat później, w 1932 r. spłonęło muzeum. Ale dzielna małżonka Izidora szybko je odbudowała, a sztuką kaszubską zainteresowała niemal całe Kaszuby. W Kościerzynie siedmio-barwne hafty wykonywał nauczyciel Lewandowski, tradycyjny warsztat Necla w Chmielnie wypuszczał śliczne wyroby ceramiczne, dziesiątki artystów rzeźbiło w drewnie i rogu, wielu malowało na szkle prymitywne obrazy religijne.

Kiedyś w Warszawie, w Państwowym Instytucie Sztuki usłyszałem takie zdanie:

— Kaszubska sztuka ludowa jest jak serce Gulgowskich; zaraża szczerą miłością tych wszystkich, którzy się z nią zetkną. Jest tak miła, bepośrednia i jakże wymowna! Czuć w niej zapach morza i sosnowych lasów i krew, którą Kasubi przelewali za Polskę...

Może w tym stwierdzeniu jest trochę patosu, ale jest w nim prawda. Bo kolor niebieski, zielony i czerwony dominuje w hafcie, a więc jest odzwierciedleniem przyrody.

Gulgowscy zapoczątkowali wielkie dzieło. Sztuka Kaszubów nie tylko została wyprawiona z murów klasztornych w Żarnowcu i Żukowie, ale motywy tej sztuki wydobyto z poddaszy i nadano im wartości użytkowe.

Często odwiedzam twórców kaszubskich. Ilekroć jadę do Żukowa w powiecie kartuskim i przekroczę próg domu hafciarek siostr Ptach, przypominam sobie poświęcony im wiersz Franciszka Fenekowskiego:

Jak ważka nad jeziorem
błękitna, niedościgną
w hafciarki czułych palcach
migoce lotna igła...

Snuje się z siedmiu motków
barw siedem, siedem nici.
Na płótnie wschodzi słońce
i kwiaty ciepłem syci.

A ręka wciąż przyjaźnie
śle ważkę w dal błękitną,
gdzie w kolorowych kwiatkach
kaszubskie serca kwitną.

I gdzie rozkwitający
czerwonej pączek róży
pomyślność i pogodę
nadmorskiej ziemi wróży.

Siostry Ptach należą do najwybitniejszych hafciarek kaszubskich. Ich wyroby przeznaczone są przeważnie dla zagranicy, wędrują głównie do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i do Francji. Ale obok nich haftuje jeszcze nestorka hafciarek, Franciszka Majkowska z Wejherowa, siostra Aleksandra Majkowskiego; we Wdzydzech pracuje znakomita Wanda Szlubah — Wiśniewska... Któż zliczy wszystkie hafciarki! Ta sztuka nie przedko zaginie.

Obok haftu Kaszuby słyną jeszcze z ceramiki (zakład Leona Necla w Chmielnie — ósme pokolenie garncarzy), rzeźby w drewnie i z rogarstwa. Ta ostatnia dziedzina jest już na wymarciu, niedawno zmarł wybitny twórca różków do tabaki Jan Lange, pozostał jeszcze tylko jeden znakomity rzeźbiarz,

ponad 70 lat liczący Franciszek Meyer z Mirachowa w powiecie kartuskim. Tabakierki wykonane przez niego odznaczają się bardzo kształtną linią i ozdobnymi motywami. Trudno się dziwić, że Meyer nigdy nie posiadał w domu gotowych wyrobów, prosto z warsztatu, zabierają mu je turyści. Od czasu do czasu wykonuje jeszcze tabakierki Józef Bizewski z Gnieźdźdewa. I to wszystko.

Znacznie lepiej przedstawia się rzeźba w drewnie. Do czołowych w tej dziedzinie należy zaliczyć Apolinarego Pastwę z Węglikowic w powiecie kościerskim. Jego ledwie trzymająca się ziemi chatka "na wybudowaniu" pod lasem, jest jak gdyby symbolem prymitywu kaszubskiego z dawnych wieków. Małeńka i biedna ona, a w niej rzeźbiarz o wielkim talencie, bardzo oryginalny. Pamiętam jego rzeźbę "Chrystus frasołliwy", zakupioną, przez Ministerstwo Kultury, która odznacza się wnikliwą obserwacją ludzi przez twórcę. Patrzysz na twarz Chrystusa, a widzisz twarz chłopca kaszubskiego, tego z wąglikowickich piasków. A przy tym doskonała znajomość anatomii człowieka, jak u rzeźbiarza klasycznego wielkiej klasy. Pastwa jest wspaniałym okazem kaszubskiego artysty ludowego. Ale nie tylko on. W drewnie rzeźbi też wspomniany już Franciszek Meyer, Władysław Lica z Wdzydz, Bolesław Stefanowski z Ważna, Leon Haska ze Smiechowa, pod Wejherowem i Leon Golla z Władysławowa u nasady Półwyspu Helskiego. I wielu innych, mniej lub więcej znanych artystów.

Dużą popularnością cieszą się też wyroby z korzenia sosny i wikliny. Mistrzynią nad mistrzynią w tej dziedzinie jest Helena Knut z Wdzydz. Wyplata ona z korzenia sosny nie tylko koszyczki, talerze, miski, dzbany ale i dekoracyjne zabawki jak np. łódzie rybackie. W tej chwili mamy na Kaszubach około 20 plecionkarczy, a niektórzy z nich, jak np. Helena Knut z Wdzydz, prowadzą małe zespoły plecionkarskie. Z bardziej znanych i uzdolnionych plecionkarczy wypada wymienić jeszcze Leona Stankowskiego i Alojzego Mazka z Borzestowa w powiecie kartuskim i Ostrowskich z Barkoczyna w powiecie kościerskim.

W Gnieźdźdewie (powiat pucki) i Sierakowicach (powiat kartuski) próbuje się wznosić malarstwo na szkle, ale w tej dziedzinie twórcy tamtejsi nie mają wiele do powiedzenia. Wobec tradycyjnego malarstwa na szkle, współczesne prace wypadają słabo.

Wyroby twórców kaszubskich wędrują w daleki świat. Ale zawsze ich mało. Nawet na Kaszubach ciężko zdobyć ładną plecionkę, rzeźbę czy różek do tabaki. Po prostu wydajność twórców jest za mała, aby zaspokoić potrzeby kolekcjonerów tej pięknej sztuki. Wyobraźmy sobie teraz, co by było, gdyby nie Gulgowscy z Wdzydz: z pewnością nie kwitła by ta ziemia sztuką rąk, byłaby jałowa, jak te piaski na południe od Kościerzyny, gdzie nawet zając nie może znaleźć pożywienia... Oni, skromni nauczyciele wiejscy, odczuli piękno drzemiące w klasztornych murach i na poddaszach, wydobyli je i rozpowszechnili, i w ten sposób uratowali bezcenny skarb jakim jest sztuka ludowa.

... Na wysokiej skarpie nad Jeziorem Wdzydzkim, w parku okalającym "Muzeum — Chatę Kaszubską", znajduje się skromna mogiła Gulgowskich. Odwiedzają ją stale mieszkańcy Wdzydz i tysięczne wycieczki z całego kraju i kłaniają się tym dwojgu ludziom o wielkich czułych na piękno sercach. Teodora Gulgowska zmarła w r. 1950 w wieku 90 lat. Spoczęła obok męża we wspólnej mogile, nad którą szumią pochylone w płaczu brzozy.

Tadeusz Bolduan



Huta szkła gospodarczego w Krośnie.
Na zdjęciu: We wzorcowni huty.

PIERWSZE DOŚWIADCZENIA GÓRSKIE

2

Kilka miesięcy siedzieliśmy w górach. Zagipsowana konspiracyjnie przez słowackiego lekarza stopa zrosła się dobrze i po niecałych czterech tygodniach poszedłem na wspinaczkę. Tu noga nie zawadzała. Łatwiej się nią było posługiwać na wspinaczce, niż normalnie chodzić.

Potem nadszedł okres zły, okres powstania na Słowacji i nastały dni chude. Już nie dało się chodzić po górach na wspinaczki, trzeba było zejść w doliny, zarabiać, polować, aby zdobyć jedzenie (w broń zopatrzyli nas partyzanci słowaccy), dobrze kombinować i uważać, aby zachować własną głowę. W lasach słowackich, na Podtatrze, można się było natknąć równie łatwo na partyzantów, jak i na patrole niemieckie, kłusowników i bandytów. Niestety, nie unikaliśmy żadnego z tych spotkań.

Mieliśmy dużo szczęścia. Nieporozumieniu zawdzięczam uratowanie się przed śmiercią z rąk bandytów. Oddziałowi wojska niemieckiego uciekliśmy raz z otoczonego schroniska w Popradzkim Jeziorze przez okno — przy szybszej orientacji mogli nas wystrzelać jak króliki. Innym razem zaniechaliśmy wystawienia warty. Psia pogoda, leży już trochę śniegu, chyba nikt nie przyjdzie do naszego schronienia, którym jest kamienna chatka, najwyższe schronisko słowackie "Utulnia pod Rysmi". Jedzenia na parę dni wystarczy. Polowanie wczorajsze dało niezłe rezultaty: kozica i świstak.

Kończymy dobre jak na nasze stosunki śniadanie. W zadymionej, ciemnej i zimnej izbie wydaje nam się, że jest przytulnie. Piec jest zatłoczony i przy każdorazowym paleniu wędzimy się w grubej warstwie gryzącego, czarnego dymu. Golić się nie warto, myć nie ma w czym, bo wody ledwo starczy do picia. Zapomnieliśmy już, że paznokcie mogą nie mieć grubej, brązowej warstwy. Palce mamy zaognione, spierzchnięte od śniegu, spekanie od skały i "czarnej roboty". Czarna domowa praca to przynoszenie i wynoszenie wody oraz staranie się o drzewo. Poza tym co rano ktoś inny sprząta.

Najgorsze to drzewo. Mamy go trochę przy mostku przed Popradzkim Jeziorzem. Co dzień jedna lub dwie osoby zbiegają 700 m. niżej, aby przyszczyć kłodę drzewa, wystarczającą do jednorazowego napalenia w piecu.

Przynoszenie wody wymaga za to umiejętności. Około stu metrów trzeba przejść w pantofelkach gumowych po ośnieżonych maliniakach trzymając dwa wiadra w rękach. Jeden fałszywy krok to nie tylko wylanie wody i sińce lecz ewentualne złamanie nogi. O wynoszenie wiader z pomyjami tocimy homeryckie boje... w karty. Potrafimy przez sześć godzin grać "w sam raz". Najwyższą stawką jest jeden kubek.

Magdzie zabrakło właśnie drzewa.

— Jurek, narab mi trochę — zwraca się do mnie.

Ociągając się chwilę wychodzę. Nie wiadomo po co Staś wyniósł wczoraj karabiny ze schroniska.

— Jeśli ja narabie drzewa, ktoś inny przyniesie broń — kombinuje.

Biorę siekiere i wychodzę pogwizdując wesoło. Dochodzi jeszcze do moich uszu dyskusja co kto będzie dziś robił. Ten chce iść po drzewo, inny na polowanie.

Wychodzę przed drzwi i truchleję. Siłą rozpędu robię jeszcze kilka kroków zanim w pełni uświadomiam sobie sytuację, w której się znajduję. Zza wystających głązów sterczą w moją stronę okrągłe lufy karabinów, za nimi wycinki ukrytych twarzy. Za węglem kawałek nogi i lufa pistoletu maszynowego. Nad wszystkim góruje tyrolski niemiecki kapelusz.

Automatycznie puszcza siekiere i unoszę ręce do góry. Tysiące myśli kłębi się w głowie.

— Napewno jest broń w schronisku. Zastrzelony świstak. Dziesięciu ludzi w środku, którzy nie zdają sobie sprawy co się dzieje. W najlepszym razie obóz koncentracyjny.

— Wychodźcie wszyscy prędko ze schroniska! — słyszę rozkaz po słowacku. Prędko!... Ilu was jest?

Straciwszy głowę odpowiadam coś po niemiecku.

Jak zawiadomić towarzyszy, że to Niemcy?

Wołam w kierunku okna:

— Panowie, już są!...

Bardzo głupio, ale wszyscy zrozumieli o co chodzi.

— Prędzej! — wołają Niemcy.

Cisza. Towarzysze szukają ucieczki przez okno ustępu. Za drzewem lufa. Za spiżarnią to samo. Jesteśmy otoczeni. Zdaje sobie sprawę z tragizmu sytuacji.

— Panowie, wychodźcie. Położenie beznadziejne — wołam jeszcze raz.

Niemcy denerwują się. Mają mnie na muszce karabinu, oczekują wystrzału. Z ulgą widzę wychodzących kolegów. Dla człowieka stojącego z boku byłby to widok naprawdę wspaniały, który oglądać można jedynie w filmie kowbojskim. Dziewięć obdartych postaci, jedna kobieta, reszta wszystkich chłopcy po 180 cm wzrostu, wychodzą powoli z rękami do góry. Cudaczny widok dodają im zmierzwiłone włosy, gęsty zarost i gruba warstwa brudu. Jeden jest boso, drugi w pół ubrany.

Rewizja osobista, potem w schronisku. Jedenaście luf celuje w nas ciągle.

— Dajcie nam spokój, jesteśmy turystami — przekonujemy dowódcę.

— Nigdy nie można być zanedo ostrożnym — odpowiada skierowując pistolet w ziemię.

Czekamy z niepokojem na wynik rewizji. Na szczęście jest bardzo pobieżna. Jedynie wiszący z sufitu na drucie świstek z przestrelonym na wylot bruchem budzi poważniejsze zastrzeżenia naszych gości. Licząc nie wiem na co, bo chyba nie na ich naiwność, opowiadam jak to kamieniem upolowaliśmy chorego "świszcza". Jest to tak samo prawdopodobne jakby się chciało upolować jaskółkę rzuciwszy w nią popielniczką. Niemcy przestraszeni są jednak podobnie jak my, ale szczęśliwie obyło się bez bitwy, przyjmują więc nasze oświadczenie bez zastrzeżeń.

Jest to oddział złożony z Niemców spis-kich, mówiących świetnie po słowacku, a co dla nas najważniejsze znajduje się wśród nich kilku taterników. Po kilku pierwszych zdaniach wiedza, że taternikami jesteśmy napewno. Co poza tym nie wiadomo, lecz sam fakt, że mówią ze sportowcami z tej samej specjalności budzi ich zaufanie.

Z miejsca, w którym stoimy, widać karabiny schowane byle jak pod kamień, wystarczy się trochę obrócić. Jeżeli spos-trzegą broń to koniec z nami. Prędko

trzeba się z tego miejsca ruszyć. Zagadujemy ich jak umiemy i zapraszamy do wnętrza schroniska na herbatę. Żeby było prędzej gotujemy na cennym spirytusie.

Nagle detonacja tuż, tuż... podrzuca nas do góry. Co się stało? Dlaczego rzuciono granat?

Dowiadujemy się przy tej sposobności historii zaskoczenia nas w schronisku.

Dwa dni temu po ucieczce naszej czterosobowej grupy (reszta siedziała na Wadze) z otoczonego schroniska przy Popradzkim Jeziorze (stąd poznałem tyrolski kapelusz dowódcy) tenże oddział podający się za partyzantów — byli w mundurach nieokreślonego koloru, urodzeni na Spiszu, mówili najczystszą słowacką — zaczęli drwać pracującego obok schroniska pytając, czy nie ma w górach jakichś "ich" towarzyszy.

— A są, siedzi ich dziesięciu na Wadze — odpowiedział drwal.

Przypadek zrzucił, że to co się stało — stało się najlepiej jak tylko mogło być. Gdybyśmy się bardziej pilnowali doszłoby do walki lub musielibyśmy uciekać. W obu wypadkach pobyt na Wadze był skończony, a co stałoby się z nami trudno przewidzieć.

Swoją drogą dzień, w którym nas zaskoczono, był jedynym dniem, kiedy w schronisku nie było broni.

Kiedy wychodziłem po drzewo Niemcy leżeli już od pół godziny w śniegu i czekali na nasze ukazanie się. Straciwszy cierpliwość wysłali jednego spośród siebie na dach celem wrzucenia nam przez komin granatu. Ten odbezpieczał już granat, gdy Magdzie Stryjeńskiej przyszedł szczęśliwy pomysł posłania mnie po drzewo. Pięć sekund później byłibyśmy porozlepiani na ścianach ciemnego schroniska.

Do tej chwili ciągle nie bardzo jeszcze pewni naszego zachowania nasi "goście" trzymali granat w pogotowiu. Teraz dopiero go wyrzucili nie mogąc już zrobić z niego lepszego użytku.

Nalewając herbatę czuję, że naczynia śmierdzą naftą.

— Co te naczynia tak czuć? — pytam. — Prawda, wczoraj.

Ugryzłem się w język. Czyszcząc wczoraj karabiny oblałymi naftą całą ladę. Nic dziwnego, że wszystko śmierdzi.

Nieskończone zdanie podejmuje Magda zwracając się przepraszającym tonem w stronę Niemców.

— Jak to, przecież wczoraj czyściliście karabiny.

Czuje, że coś mnie dusi pod gardło.

— Magda, co?

— Przecież wczoraj czyściliście tutaj karabiny — odpowiada nie zbita z tropu Magda.

Gdy chwilowe zamroczenie mija orientuje się i ona co powiedziała. Niemcy ze Spisza umieją przecież po słowacku, a to język tak podobny do polskiego. Całe szczęście, że słowo: "karabin" nie im nie mówi. Po słowacku to "puszka", po niemiecku: "Maschinengewehr".

Wybuchamy szalonym, nerwowym śmiechem. Podniecenie mija. Nikt się na szczęście poza nami nie zorientował o co chodzi.

Pertraktacje pokojowe tymczasem trwają. Upewniliśmy się, że jesteśmy rzeczywiście taternikami Niemcy rezygnują ze sprowadzenia nas na dół. Chodzi nam

Dok. na str. 24

W M E K S Y K U

2.

OAXACA

Siedzę pod arkadami hotelu Posada Marques del Valle. Prawie wszystkie stoliki zajęte, towarzystwo mieszane. Obok mnie Amerykanie w bajecznie kolorowych koszulach. Na plecach wyhaftowane mają quetzale. Dalej rudobrody flegmatyczny Anglik, zapewne malarz. Po drugiej stronie Meksykanieczy o przyszytych krótko włosach i czarnych włosach lśniących od pomady. Piją tequilla i rzucają ogniste spojrzenia mijającym kawiarnię dziewczętom.

Z mojego stolika widzę cały plac jak z loży teatralnej. Dokola wznosi się dekoracja z trzypiętrowych kamieni o pięknych arkadach. Po środku niewielki skwer. Pod drzewami — przytulne ławki i estrada dla orkiestry dętej, która gra właśnie ile sił starczy w piersi.

Scena pierwsza: corso spacerowe. Dziewczęta i chłopcy drepczą tam i z powrotem. Oto, jak w starej powieści, jednej z paniek spada przypadkowo chusteczka. Młodziś niec podnosi ją z gracją. Panna rumieni się, jej koleżanki chichoczą.

Scena druga, przeznaczona wyłącznie dla cudzoziemców. Zza drzew wysuwają się Indianie i rozwijają tkane ręcznie zarapos. Są tu czerwone ptaki na szarym tle, białe i niebieskie kwiaty, figury geometryczne.

Scena trzecia i ostatnia: do mojego stolika zbliżają się dwie Indianki. Są drobne, nie mają więcej, niż po sześćnaście lat. Z chust, zawieszonych na plecach, spoglądają czarne ślenki dzieci.

Kobiety wysypują na stół miejscową biżuterię: pozłacane kolczyki, broszki o delikatnej, koronkowej robocie.

TARG

Niedzielny targ w Oaxaca. Stoje jak zahypnotyzowana przed górami ananasów. Patrzę jak tęga Indianka okrawa nożem soczysty owoc, a następnie tnie na kawalki i układa brudnymi rękami na poplamionej desce. Widok znany z Brazylii.

Króluje mango. Obok winogrona, zielonkawo-żółte mamony i melony. A oto coś nowego — owoce owalne, wielkości mangów, szar-

ro-brunatne. To mamey o czerwonym miększu. Nieco dalej — stragany z aguacetes capulines, owocami przypominającymi czeresnie.

W dziale warzywniczym najwięcej — chile, o najrozmaitszych odcieniach zieleni, żółci, brązu i czerwieni. Jest to jarzyna stanowiąca niezbędny dodatek do wszystkich potraw meksykańskich.

Dział żywnościowy. Baryłki białych serów, stopy wędzonego mięsa, podroby, serca, skąpane jeszcze w krwi. Nad wszystkimi unoszą się chmary brzęczących much. Powiązane kury, leżące bezwładnie na ziemi. Oblizujący się kot. Stary żebrak, wyciągający uschniętą rękę i pluający na wszystkie strony. Dzieci czepiające się spodnic sprzedawczyń. Mdły zapach tortillas, smażonych na poczekaniu na blasze i woń spoconych ciał ludzkich. Przygodna orkiestra grająca jakąś skoczną melodię. Zgiełk.

Dział odzieżowy. Amerykanie. Mężczyźni, mimo upału, wciągają na siebie grube swe try recznej roboty; kobiety owijają się w rebozos i przymierzają haftowane bluzki, płacąc bez zmrużenia oka żądaną cenę. Uważają, widocznie, że robią doskonały biznes.

Dział koszyków. Koszyki okrągłe, prostokątne, duże, małe, wielobarwne. Koszyki, koszyki, koszyki...

— Celle-là en haut est très joli.

Patrzę w stronę wyciągniętego paluszka młodej i ładnej Francuzki i widzę na samym szczycie piramidy olbrzymi koszyk w rodzaju walizy podróźnej spleciony z beżowej słomki i ozdobiony kolorowym deseniem. Sprzedawca próbuje go dosięgnąć długim kijem zakończonym hakiem. Ale właśnie w tym momencie upada mu pod nogi zabiłkany kundel i biedak pada jak długi na ziemię. Padając zawadza kijem o długi rząd koszyków, które syją się na głowy przechodniów. Uchyliam się instynktownie. Mimo to dostaję jakimś koszykiem w plecy. Z zaciekawieniem oglądam przedmiot uderzenia: jest to okrągły, zgrabny koszyk z zielonym rysunkiem quetzala. Właśnie takiego szukałam.

Zmęczona długim chodzeniem docieram wreszcie do działu garncarskiego. Na straganach piętrzą się wazy i figurki z czarnej miejscowej gliny. Oglądam kolorowe talerze, figurki ptaków i ryb. Najwięcej mi się podobają maleńkie dzbanuszki, mniejsze, niż na parstki o szklistej, ciemno-zielonej polewie.

Obok dwie Amerykanki w sombrerach, obciążone paczkami, grzebią w koszach z ceramiką. Jedna z nich wyciąga triumfalnie straszliwą maskę boga gniewu. Natychmiast nakłada ją na twarz.

Obserwujący tę scenę Meksykanieczy śmieją się.

Jeden z nich mówi:

— Lady, you are beautiful; I love you.

TEOTIHUACAN

Wspinam się na piramidę del Sol po wyskłych trzydziestocentymetrowych stopniach. W sumie naliczyłam ich przeszło dwieście. Wreszcie jestem na szczycie. W r. 450 po Chrystusie zbudowano tu ołtarz poświęcony Tonacatecutli, bogu słońca, ciepła i obfitości. Bóg miał złoty pancerz na piersiach, w którym odbijały się promienie słońca.

Piramida liczy 65 metrów. Zbudowano ją z kamieni pochodzenia wulkanicznego, spójonych cementem. Ze szczytu widać całą dolinę, na której rozciąga się Teotihuacan tj. miejsce, gdzie wszyscy oddają cześć bogom. Było to w zasadzie miasto świątyni, w którym przeważnie mieszkali kapłani.



Cuernavaca. Pałac Corteza.

Dziś na przestrzeni trzech kilometrów kwadratowych widać tu tylko ruiny. Świadczą one o kulturze Tolteków, którzy byli nie tylko zdolnymi architektami, rzeźbiarzami i malarzami ale znali także doskonale astronomię, geografię i zasady urbanistyki. Do wielkiego imperium Tolteków należały również miasta Tula i Chichen Itza.

Piramida Słońca stanowi jak gdyby punkt centralny Teotihuacan. Nieco dalej wznosi się mniejsza piramida Księżyca, licząca 42 metry. W pobliżu niej widać t. zw. Droge Śmierci, gdzie odnaleziono szereg szkieletów. Droga ta prowadzi do świątyni Quetzalcoatl 1), ozdobionej pięknymi rzezbami głów węży w obramowaniu piór quetzali. Na głównym ołtarzu świątyni kapłani składali bogom krwawe ofiary z ludzi. Co 52 lata odbywało się tu wielkie święto Nowego Ognia, którym rozpoczynało nową erę.

CUERNAVACA

Jest to piękna miejscowość letniskowa, gdzie doskonały klimat i cudowna przyroda przyciągają mieszkańców stolicy, którzy przyjeżdżają tu na wakacje lub koniec tygodnia. Zamożni przybysze pobudowali w Cuernavaca letnie rezydencje, otoczone ogrodami. Przebywał tu niegdyś Cortes ze swoją drugą żoną, cesarz Maksymilian i cesarzowa Carlotta.

Dziś jeszcze można podziwiać pałac Cortesa i wspaniały park, założony przez José de la Borde. Z tarasów roztacza się malowniczy widok. Z czasów kolonialnych datuje się również katedra i klasztor Franciszkanów.

Miejscem codziennych spotkań popołudniowych jest Zocalo. Przychodzi się tu na dobrą kawę i ciastka lub kieliszek tequilli. W trakcie rozmowy z przyjaciółmi obserwuje się spacerowiczów, wymieniając ukłony.

Do Cuernavaca zjeżdża też wielu aktorów i malarzy. Nie brak też zakochanych par i turystów. Dla nich to głównie zainstalowano skromne straganiaki ze srebrną biżuterią, koszykami, kolorowymi bluzkami i wielkimi kapeluszami meksykańskimi.

Uwagi:

1) Quetzal — ptak o pięknym zielonym upierzeniu.

2) Coatl — wąż.

Śława Stępiakowa

Charakterystyczne rzeźby azteckie.

W Północnej Paranie 42 lata temu

KAZIMIERZ KARMAN

2.

Od osady, w której mieszkał gościnny Niemiec, do Picadão do Mato Grosso było już tylko około pięciu kilometrów. Po tej szerokiej i starannie utrzymanej drodze jechaliśmy z Mryczką do wieczora. Przed zachodem słońca zatrzymaliśmy się przy pierwszej napotkanej chacie.

Morador, który mieszkał tu z żoną, miał spotkanie z jaguarem. Człowiek wyszedł z tej opresji pokaleczony, ale tygrysowi powiodło się jeszcze gorzej, gdyż stracił swoją cenną skórę. Mryczka, wychowany w mieście, słuchając opowiadania moradora i widząc jego blizny gotów był już zawracać. No, ale przekonałem go jakoś, że tygrysy nas nie zjedzą.

Jechaliśmy potem terenem górzystym i na kilometrze 115 wstąpiliśmy do p. Moyses Tabordy, który miał tam plantację trzciny cukrowej, gorzelnię, i fabrykę *rapadury*. Przyjął nas bardzo uprzejmie. Był to rodzony brat p. Tabordy, kupca z Kurytyby, który miał sklep galanteryjny na ul. Quinze de Novembro. Opowiadał, że długi czas mieszkał w Kurytybie, ale ją znienawidził i przeniósł się z rodziną do puszczy. Drwił przy tym z mieszczuchów i z całej cywilizacji produkującej uczynnych matolków o wielkich pretensjach albo ciasnogłowych biurokratów, którzy poza papierkami nie widzą świata Bóże.

Spotkałem tam Indianina, który znał góry Pitanga, gdyż często tam polował, jak również rzekę Cantu. Wiadomości, których mi udzielił, były identyczne i informacjami eksploratorów Towarzystwa Alica i z moimi własnymi obserwacjami poczynionymi ze szczytów gór na kilometrze 138 i 155.

Po opuszczeniu posiadłości p. Tabordy napotkałem koło wieczora *paol* p. Camargo. Było tam dużo kukurydzy i arbuzów, a także *mangueira* z korytami dla koni. W paolu nie zastaliśmy nikogo, a posiadając upoważnienie od zastępcy p. Camargi postanowiłem tu przenocować.

Rankiem, dobrze wypoczęci, wybraliśmy się w dalszą drogę. Przejeżdżając przez szczyty górskie wlałem na drzewa, skąd roztaczał się wspaniały widok na olbrzymie przestrzenie leśne. Mryczka miał w szkole celujące stopnie z gimnastyki, otrzymywał nawet nagrody z tego przedmiotu, ale na drzewo wleźć w żaden sposób nie potrafił. W salach gimnastycznych jest coś w rodzaju konia, na którego wskakuje się z tyłu. Proszę spróbować dosiąść w ten sposób konia albo muła. Po co więc te głupie ćwiczenia, które w praktyce psu na budę się nie zdadzą?

Mryczka umiał się kłębić na drążku, wskakiwać na fikcyjnego konia, ale w żaden sposób nie potrafił wyleźć na drzewo, a na prawdziwym koniu siedział jak kot na płocie. Później się nauczył jeździć, ale z początku nie umiał ani wsiąść, ani zsiąść z konia i kosztowało go to dużo drwin i upokorzenia, zanim zdobył tę umiejętność. Toteż z podziwem patrzył jak nawet w obuwu wlałem na wysokie palmy, aby obserwować topografię terenu, ja, który nigdy w życiu nie pobierałem lekcji gimnastyki.

Dnia 12 sierpnia (był to już siedemnasty dzień podróży) dotarliśmy do rzeki Rio Lizo. Znajdowały się tu dwie opuszczone ransze w dobrym jeszcze stanie. Postanowiłem zrobić rekonesans terenu w tym miejscu.

Udałem się w górę rzeki na odległość około pięciu kilometrów. Rio Lizo płynie tu wąwozem pełnym progów i gardzieli otoczonym z obu stron stromymi górami. Wracając, blisko już ranszy, upolowałem wydrę, zdjąłem z niej skórę, a mięso porzuciłem.

Nazajutrz z rana, kiedy przechodziłem przez miejsce, gdzie pozostawiłem wydrę, spostrzegłem ze zdziwieniem, że znikła. Przekonałem się jednak zaraz, że gospodarował tu jaguar. Idąc jego śladem w odległości 50 metrów znalazłem pół wydry, którą tygrys zagrzebał sobie na kolację.

Nad Rio Lizo przesiedzieliśmy trzy dni, częściowo z powodu ulewnego deszczu. Po opuszczeniu ranszy jechaliśmy cały dzień przez górzysty, bezludny kraj i dopiero wieczorem dnia 15 sierpnia napotkaliśmy pierwszą żywą duszę. Był to morador João Marinho, którego ransza *pique a pau* nie była jeszcze ukończona, gdyż przybył tu zaledwie przed miesiącem. Żona jego była rodzoną siostrą senatora Generoso Marques.

— Zna go pan zapewne — powiedziała. — To wielki pan i wstydi się mnie. Ja się też do niego nie pcham. Nigdy mi nie pomógł, chociaż mógłby.

Po sposobie wyrażania się i zachowaniu widać u niej było ogładę i dobre wychowanie. Maż jej, João Mariano, wyglądał jak dobroduszny kaboklo i był też nim zapewne. Puszcza brazylijska kryje wiele tragedii ludzkich. Wkrótce poznałem drugą kobietę z dobrego towarzystwa, która plunawszy na cywilizowany świat skryła się w puszczy. Była to p. Sinhana Coita.

Trafiałem do jej gościnnego domu nazajutrz dnia 16 sierpnia. Po przywitaniu i wstępnej rozmowie zorientowałem się od razu, że mam do czynienia z osobą dystygowaną i wykształconą, chociaż jej ubiór tego nie zdradzał. Jak to niekiedy bywa u prawdziwych dam ubrana była dość niedbale. W czasie kiedy ja poznałem miała już pod pięćdziesiątkę, ale twarz jej zdradzała jeszcze ślady piękności.

Córka fazendera otrzymała staranne wykształcenie w kolegium *Sacré Coeur* w Rio de Janeiro. Po powrocie do Guarapuavy wyszła za mąż. Co się potem stało nie wiadomo, ale musiała być tam jakaś tragedia. Dość, że Sinhana Coita porzuciła dom i sama jedyna przeniosła się do puszczy o 203 km od Guarapuavy. Zajęła się tu uprawą ziemi, hodowlą i wychowaniem dwóch Indian ze szczepu Caiacangas.

W owych czasach Indianie Koroadzi prowadzili wojnę z Kajakangami. Wyłukli w końcu Kajakangów, zabrali ich dzieci i powrócili do swych siedzib nad rzeką Corumbatahy. Nie wiem w jaki sposób Sinhana Coita zdobyła od nich dwóch chłopczek. W okresie mojego pobytu u niej byli to już dorośli mężczyźni, brzydcy jak nieszczęście o rudych włosach i białych oczach (albinosi). Wyglądali jak judasze.

Sinhana Coita wychowała też dwie dziewczyny kabukierki. Były to już teraz także dorosłe panny.

Wybierając się na wyprawę dałem Mryczce jako zaliczkę 50 milrejsów i poradziłem, żeby kupił taną biżuterię, którą w podróży w sertonie łatwo sprzedać z zarobkiem. Poszedłem z nim nawet do jubлера hurtownika i wybrałem tam ową biżuterię. Były to posrebrzane pierścionki z serduszkami, krzyżyki z łańcuszkami, medaliki zwane *oczka*mi św. Łucji, kolczyki, broszki i inne jeszcze *bugigangi*.

Mryczka płacił za nie od dwóch do trzech milrejsów za tuzin.

Powiedziałem do niego:

— Widzisz, jak sprzedasz po miłu sztuke to już grubo zarobisz.

Ale Mryczka wykształcony w szkole lekceważenia leśnych ludzi uważał ich za skończonych durni. Żądał za swoje *bugigangi* po pięć do dziesięciu milrejsów za sztukę, igał na potęgę, że pozłacane krzyżyki są *szczerono-*

złote, a przy tym poświęcane przez samego Papieża w Bazylice św. Piotra i Pawła w Rzymie.

Po kolacji zostałem z Sinhana Coita w jadalni, a Mryczka poszedł do kuchni obrabiać Indian i kabukierki. Wydobył swoje *bugigangi* i zaczął je zachwalać coraz natęczywiej jako zrobione z prawdziwego złota.

Słyszac to Sinhana Coita uśmiechnęła się.

— Zdaje się, — powiedziała — że pański kolega nigdy nie widział złota.

— Człowieku, — zwróciłem się po polsku do Mryczki — daj spokój. Co ty myślisz, że oni są tacy głupi?

Ale Mryczka był już sam taki skolowany własną kłamliwą propagandą, że nie zważał na moje słowa.

Tego już było za wiele. Sinhana Coita poszła do kuchni i powiedziała:

— Issi nunca é ouro.

Mryczka zaperzony i zły, że mu psuje interes, gdyż jeden z Indian objawiał już chęć kupienia kilku jego *bugigang* odparkł:

— Não Senhora, isto é ouro e ouro legítimo.

Sinhana Coita nic już na to nie powiedziała tylko wyszła z kuchni i za chwilę powróciła ze złotym krzyżem i łańcuszkiem, którego mógł jej pozazdrościć niejeden arcybiskup. Było tam złota paręset gramów.

Pokazała krzyż Mryczce.

— Compare esse seu ouro com este que é legítimo de fato.

Mryczka wytrzeszczył oczy i zamilkł. Nie spodziewał się takiej kompromitacji. Zapakował swoją biżuterię i wyniósł się ze wstydu na dwór.

Sinhana Coita dała mi krzyż do obejrzenia i powiedziała, że pochodzi z Assunção i jest dziełem jubilerów paragwajskich.

Kiedy poszliśmy spać Mryczka nie mógł zasnąć i wciąż powtarzał:

— No i ktoby się tego spodziewał?

— Tak, bratku, lekceważysz ludzi leśnych, a teraz znalazłeś się w kropce.

D. c. n.



Dziewczynka z żabutikabą z Minas Gerais. Photograph by Michał Czerewko. São Paulo — Brasil.

POSUCHA

JAN KRAWCZYK

Clodoaldo zeszedł w dolinę. Kucząc wśród zamierających zarośli dotarł wreszcie do ogrodzenia z długich żerdzi, gęsto powitykanych w ziemię i poprzeplatanych chrustem. Chciał przedostać się przez płot na drugą stronę, ale nie wiedział było nigdzie przełazu. Pobrnął wzdłuż ogrodzenia. Wkrótce natknął się na stos bielejących kości. Obok leżały długie rogi wołowe. Wędrując wzdłuż rzadkich krzewów przylegających do płotu dotarł wreszcie do bramy. Gdy przeciskał się między drągami, z których była zbudowana, wybiegł mu naprzeciw chudy kundel, szkielet obciągnięty wleniałą skórą. Kundel chciał zaszczeakać, ale ze ściśniętego gardła wydobyły się jedynie głuche dźwięki jak chrapanie.

Widok tego stworzenia zamiast uciechować Clodoalda nappełnił go niepokojem. Dolina ciesząca oko zielenią roślinności rokowała nadzieję znalezienia ludzi, wody i strawy. Był spragniony, wygłodniały i wyczerpany. Ostatnie kilometry przebył resztkami sił. Myślał, że jeżeli nie spotka teraz nikogo — zginie w caatindze. A wynędzniały pies mógł świadczyć jedynie o odejściu ludzi.

Na zakręcie zobaczył chatę. Wyglądała jak opustoszała, ale były to tylko pozory. W progu stał mężczyzna, zasuszone jak mumia o ziemistej twarzy, pochylony. Kobieta była równie chuda, mimo, że niska i grubszej budowy ciała, oczy miała przeraźliwie smutne. Dwóch wyrostków, jeden liczył nie więcej, niż szesnaście, a drugi osiemnaście lub dziewiętnaście lat, siedziało opodal pod rozłożystym drzewem. Gapili się głupkowato na Clodoaldo. Siedemnastoletnia może dziewczyna pomagała matce cerować białiznę.

— Proszę, proszę... — głos kabokla był niepewny i chrapliwy. — Każdy kto się zabłąka w te strony jest nam bratem, należy mu się gościna. Mamy serce równie otwarte jak caatinga, tylko, niestety, równie puste. Woda już się kończy...

— Wystarczy mi jeden łyk.

— Chyba trochę biota.

Clodoaldo zamilkł. Ludzie przestali zwracać na niego uwagę. Tylko dziewczyna przyjrzała mu się przelotnie i zaraz opuściła głowę. Z wielu lat o różnych kolorach szła spodnie.

Pies położył się koło wyrostków. Poprzez skórę wystawiały mu żebra jak suche patyki. Jeden z braci przyciągnął go do siebie za ogon i pogłaskał. Pies nie zareagował na tę pieszczotę. Clodoaldo miał wrażenie, że zza krzaków, spod ziemi, z upalnego nieba wзира śmierć. Wzdrygnął się. Poruszając z trudem zaschłym językiem powiedział nieśmiało i cicho:

— Nic nie jadłem...

Kaboklo podniósł głowę, dłuższy czas wpatrywał się w Clodoaldo, zdając się nie rozumieć o co chodzi. W jego działającym leniwym mózgu deczyła rodzila się powoli.

— Gabriela, przynieś mu coś do jedzenia.

Dziewczyna weszła do chaty. Dochodziło stamtąd dzwonięcie przesuwanych blaszanek. Przyniosła wreszcie kubek kawy i kawałek kukurydzianego placka. Był gorzki, bez soli, ale Clodoaldo pochłoniął go jak największy przysmak. Kawa śmierdziała popiołem i sadzami.

— Lepsze to, niż surowa woda — powiedział kaboklo. — Od wody ludzie padają jak muchy.

— Wczoraj pochowano troje — dodała kobieta.

— A dziś pięcioro dzieci — wyjaśniła Gabriela, nie przezywając roboty. — Trzeba było słyszeć jak ludzie płakali. Kaboklo pokiwał smutnie głową.

— I pomyśleć tylko, że nasza osada nazywa się Vale dos Felizes!... Ja bym ją nazwał Vale do Inferno. To piekło, prawdziwe piekło! Powiadasz, że pochodzisz z Engenho Vitória? Ach, tam jest raj. Znam tę miejscowość, nie napotkasz podobnej w caatindze. Tu jedna tylko pustynia — suche krzaki i goła ziemia. Czy wiesz od jak dawna nie padał u nas deszcz?

A gdy Clodoaldo nie odpowiedział gospodarz ciągnął dalej:

— Zapomnieliśmy już jak wygląda deszcz i jaki ma smak. Wszystko wyschło i wszystko zdycha. Ostatnie dwa woły padły dwa miesiące temu. Widziałeś napewno kości. Urubuję miały z nich pociechę, a ja głupiec nie użyłem ich mięsa. Można było zrobić szarke i mielibyśmy teraz co jeść. A tak niedługo trzeba będzie się stąd wynosić albo zdechnąć. Przyjrzałeś się ziemi? Nic już na niej nie rośnie, nawet marne zdżbło trawy, jest wysuszona na popiół. Te krzewy? Dyszą ostatnim tchem, żywią się jeszcze nocną rosą, która pojawia się coraz rzadziej, raz na kilka tygodni. Niezadługo i one

zdechną. Tak już wyschły, że tylko zapalkę przyłożyć. Nawet ziemia będzie się palić.

Clodoaldo ogarnął niepokój. Chciał wstać, pożegnać się i uciec jak najprędzej uciec z tego przeklętego miejsca, ale nie śmiał przerywać gospodarzowi, więc przykucnąwszy na progu grzecznie słuchał.

— Gonimy resztkami sił i czekamy. Na co? Nie wiem. Łudzimy się, że lađa dzień spadnie deszcz. Ale to nieprawda. Gdyby miał spaść dawno by to już nastąpiło. Nie pora teraz na deszcz. Człowiek jest głupszy od bydła. Ono szybciej zwiertzy niebezpieczeństwo i wieje ile sił w nogach, a człowiek czeka do ostatniego dnia. Jeden drugiego namawia, przekonywa i mami, że wszystko się odmieni, że będzie jak dawniej wesoło i przyjemnie. A to nie tak, to nieprawda. Piekło nas pochłonie, śmierć ucałi i nikt jej nie uniknie.

Clodoaldo podniósł się.

— Idę już.

— Dokąd chcesz iść?

— Dalej. Napotkam chyba po drodze osadę mniej dotkniętą posuchą i zostanę tam.

— Szukasz pracy? Szkoda twego zachodu, nigdzie jej teraz nie dostaniesz nawet za samo żarcie. Ludzie nie nie sieją, bo słońce i tak spali. Lepiej nic nie robić i czekać.

— Mnie nie o pracę chodzi. Uciekam przed Tongą. Nakłamałem mu o patronie i dlatego uciekam. Mówią, że Tonga jest dobry i ratuje ludzi z biedy ale ja już wolę być od niego z daleka.

— Co ty mówisz? Tonga według mnie to porządny chłop. Przechodził tędy niedawno, podarował mi nawet trochę grosza. Tak, to porządny chłop. Szkoda tylko, że nie chciał wziąć moich chłopaków. A teraz co z nimi będzie? Przepadną jak i wszyscy. Cangaco by ich poratowało.

Clodoaldo przyciągnął sznurek przytrzymujący spodnie.

— No, to dziękuje za wszystko. Até outro dia!

— A gdzie ty pójdziesz teraz, — powiedziała nagle kobieta. — Noc nadchodzi, w caatindze chcesz nocować?

— Racja, — przyznał kaboklo. — Zostań u nas.

Z pustej i pokrywającej się z wolna mrokiem caatingi nadleciało krakanie ptaka anu, ponure, smutne i beznadziejne. Clodoaldo westchnął. Odeszła go chęć wędrowania w nocy przez pustkowie. Został.

Nadchodził wieczór równie parny i duszny jak dzień. Ciężkie powietrze zapierało oddech. Kaboklo więcej z przyzwyczajenia, niż potrzeby poszedł w pole. Po powrocie powiedział, że nic się nie zmieniło, tylko wody w studni coraz mniej, starczy jej może na dwa, trzy dni.

— Dawno ci już mówiłem, że nie ma się co oglądać tylko uciekać stąd jak najprędzej.

— A idź, jeśli ci tak pilno! Ciekaw jestem dokąd byś doszła. Wszędzie ta sama cholera — sucho i głód. Nie ma co, trzeba czekać, może nadejdzie deszcz.

Deszcz!... Cały wieczór kaboklo mówił tylko o deszczu. Wspominał czasy kiedy lało jak z cebra całymi tygoniami. Ludzie pławili się w deszczu, woda zalewała pola, pastwiska, unosiła domy i dobytek. To były czasy!

Kaboklo przestał mówić. Za oknem widać było w ciemności dalekie błyskawice rozświetlające horyzont.

— Już od pół roku tak się błyska. I nic.

Clodoaldo leżał w kącie na starej, dobrze już przetartej macie. Ręce podłożył pod głowę i przymknął ociężałe powieki. Dookoła trwała cisza. Tylko z daleka dochodziły ochryple pohukiwania sów. Żar wlatczał się do piersi wraz z oddechem, palił ciało i wyciskał z niego wielkie krople potu.

Automecânica ITPOL Ltda.

OFICINA AUTORIZADA SIMCA DO BRASIL

Naprawa ogólna samochodów SIMCA oraz karoserii.

Malowanie nadwozi. Wykonanie solidne.

Posiadamy nowe wozy "Chombord", które sprzedajemy z gwarancją 8 miesięcy.

Rua Oscar Freire, 1965 — Telefon: — 80-1390

PÓGOTOWIE W DZIEŃ I W NOCY.

SÃO PAULO.

CZERWONA DOLINA

Jan Waszczuk żył samotnie. Od lat nikt go nie odwiedzał poza dozorczynią, która dwa razy tygodniowo sprzątała mieszkanie.

Nie czuł zupełnie potrzeby towarzystwa. Nawet w biurze nie odzywał się do nikogo, chyba, że musiał.

Owa małomówność i skłonność do samotności nie stanowiły jednak cech wrodzonych. Dawniej, kiedy żyła żona, w niczym nie odbiegał od innych ludzi: chodził do kina, na spacer i do znajomych.

Weronika, ładna brunetka, żywa, jak iskra, potrafiła go zawsze rozruszać. Ale odkąd zginęła w wypadku samochodowym, Waszczuk zamknął się w sobie i odгородził od świata. Po powrocie z biura obkładał się książkami i czytał do północy, albo i dłużej. Palił przy tym papieros za papierosem i pił niezliczoną ilość czarnej kawy.

Wszystko to jednak zmieniło się odkąd kupił telewizor. Oglądanie szklanego ekranu stało się dla Waszczuka prawdziwą namiętnością. Potrafił siedzieć godzinami przy telewizorze, nieczuły na głód i pragnienie.

Pewnego razu, kiedy chcąc zmienić stację, przekreślił gałkę, spostrzegł ze zdziwieniem nie zwykły znany sygnał wywoławczy lecz jakby czarną zasłonę, po której spływały czerwone krople, podobne do kropli roztopionego metalu.

Potem zasłona się rozsunęła i ukazała się rozległa dolina, pofałdowana niewielkimi wzniesieniami. Nad doliną unosiły się mleczne opary, a co najdziwniejsze — cała ona była czerwona jak krew. Waszczuk przysunął oczy do samego ekranu i wtedy przekonał się, że to co początkowo uważał za purpurowy piasek było w istocie kwiatami, drobnymi kwiatami, nieco przypominającymi wrzos. Tu i ówdzie rosły też kępami granatowe krzewy, podobne do karłowatych świerków.

Zza wzgórz wypłynęło słońce. Wydawało się małe i zamglone, mimo, iż niebo było bezchmurne, ciemne, niemal czarne, jak w nocy.

Opary, unoszące się nad ziemią, ustąpiły i Waszczuk zobaczył, albo zdawało mu się, że zobaczył, jakieś skrzydlate istoty, przypominające do pewnego stopnia ludzi ale jednak inne.

— Anioły!... — pomyślał i ten absurdalny wniosek nappełnił go przerażeniem.

Nie mógł się lepiej przyjrzeć owym istotom, ponieważ obraz zamglił się nagle i poszarzał i z ekranu wyłoniła się znajoma twarz spikerki zapowiadającej kolejny numer programu.

Waszczuk był zaintrygowany. Ale napróżno przenosił się z kanału na kanał. Ani tego dnia, ani nazajutrz nie udało mu się schwycić tajemniczej stacji. Dał w końcu za wygraną.

Zapomniał już prawie o dziwnym zjawisku, gdy może w miesiąc potem stacja odezwała się sama. Szedł właśnie program miejscowy, gdy nagle nadawany obraz poszarzał, szedł, po ciemnej płaszczyźnie ekranu jęły biec ogniste lzy i ukazała się czerwona dolina.

Tym razem słońce znajdowało się w zenicie, niebo było jednak w dalszym ciągu granatowe, nocne. Tu i ówdzie widać było nawet gwiazdy.

Grupa skrzydlatych istot unosiła się nad szkarłatną ziemią. Byli tam trzej mężczyźni i jedna kobieta — wszyscy o wymiarach jednakowych, jakby odlano ich w jednej i tej samej formie. Skrzydła mieli błoniste, zlekka opalizujące, a ciała smukłe, eteryczne, niemal niematerialne. Co jednak było najdziwniejsze to twarze ich mieniające się, jak perłowa macica.

Kobieta spodobała się Waszczukowi. Nie mógł sobie przypomnieć kogo mu przypomina, a jednak pewien był, że już ją kiedyś widział. Może we śnie?

Rozmawiała ze swymi towarzyszami i pokazywała im coś co znajdowało się poza ekranem. Tak jakby jego, Jana Waszczuka.

Czyżby istniała bezpośrednia łączność pomiędzy światem, w którym egzystował, a światem z ekranu? I czyżby nie tylko on obserwował ale był także obserwowany?

Zimny pot oblał mu czoło. Chciał zamknąć telewizor ale nie mógł tego uczynić. Ręce, nogi, całe ciało ogarniała niemoc, czuł się jak sparalizowany.

Tymczasem obraz na ekranie jał się zmieniać. Faliste wzniesienie, widniejące na horyzoncie, zaczęło się przybliżać, rosnać, aż wreszcie ukazał się w nim otwór tunelu i pojazd podobny do rakiety. Potem okrągłe drzwi, prowadzące do wnętrza pojazdu, otworzyły się bezszelestnie i Waszczuk zobaczył dwa rzędy foteli, takich mniej więcej jakie widzi się w samolocie.

Po chwili drzwi zatrzasnęły się. Tuż nad nimi, na wykresie przypominającym mapę drogową, zielony punkt świetlny zaczął się powoli przesuwac w dół. Pojazd poruszał się i Waszczuk miał pewność, że poruszał się w głąb ziemi.

Mogło to trwać minutę lub dwie, równie dobrze jak godzinę. Punkt świetlny wędrował od kółka do kółka, nagle zatrzymał się. Drzwi pojazdu otworzyły się i w perspektywie pojawiła się ulica, pełna różnokolorowych światel.

Ale czy to była ulica, czy też jakiś tunel, spowity czerwonymi i niebieskimi dymami, tego Waszczuk nie zdążył już dobrze rozróżnić, gdyż w tej samej chwili obraz poszarzał i zbladł.

Waszczuk siedział jeszcze długo przed telewizorem, przecierając od czasu do czasu oczy i patrząc z niedowierzaniem na jegomościa, wyjaśniającego przy wielkiej mapie prognozę pogody na jutro. Na mapie zapalały się i gasły zielone i żółte światełka, oznaczające kierunek wyżów i niżów barometrycznych.

— Czy ja zwariowałem? — myślał Waszczuk. — Czy też tylko podlegam halucynacjom? A może... może... widziałem obraz z innego świata, z innej planety? Z Marsa?

Tej nocy nie zmrzął już oka. Tysiące przypuszczeń przechodziło mu do głowy, jedna niedorzeczniejsza od drugiej. Zasnął dopiero nad ranem i obudził się przerażony, z sercem bijącym mocno, zlany potem.

W biurze był nieuważny. Popelnił kilka błędów i musiał niektóre tablice statystyczne obliczać ponownie. Gdy skończył się zajęcia porwał za kapelusz i pobiegł do domu.

Tego dnia wszyscy się spieszyli, był to bowiem Sylwester. Po ulicach przewalały się tłumy przechodniów Nieuchwytny nastrój radosnego oczekiwania, udzielał się każdemu człowiekowi.

Waszczuk po przybyciu do domu zaraz zasiadł do telewizora. Przekreślił gałkę.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ukazała się czarna zasłona. Zwolna toczyły się po niej ogniste krople. Potem zjawily się znajome zarysy wzgórz.

Waszczuk zobaczył też kobietę. Mówiła coś, mówiła do niego. Zdawało mu się, że powtarza:

— Już niedługo... już niedługo... Dziś przed dwunastą...

Widzenie trwało zaledwie kilkanaście sekund i znikło.

— Co to może być? — myślał Waszczuk.

Ogarnęło go podniecenie. Ogolił się i włożył najlepszy garnitur. Zbiegł jeszcze na chwilę na dół do pobliskiej kwiaciarni i kupił jeden jedyny goździk. Ale był to wspaniały goździk, duży, pachnący, biały. Wpiął go do kłapy marynarki.

Poprawiając przed lustrem muszkę przyjrzał się sobie krytycznie. Nie był jeszcze stary, miał niewiele ponad czterdziestkę i tego wieczoru, prawdopodobnie pod wpływem emocji, wyglądał bardzo korzystnie.

Zbliżyła się dwunasta. Pospiesznie włączył telewizor.

Ukazała się czerwona dolina.

Był wieczór. Z ziemi unosiły się opary. Małe słońce, zachodząc, różowiło widnokrąg, podczas gdy dwa księżyce, jeden w pełni, a drugi w ostatniej kwadrze, wędrowały po niebie usianym gwiazdami.

Skrzydlate istoty kręciły się koło urządzenia przypominającego tubę gramofonu.

Waszczuk nie mógł zrozumieć co się z nim dzieje. Wzrastało w nim wewnętrzne napięcie. Poczł szum w uszach, jak przy gwałtownej zmianie ciśnienia, a zaraz potem ostry ból serca. Zdawało mu się, że ciało jego przedziera się z trudem przez niewidzialną zaporę.

X X X

— Słyszeliście huk? — powiedział sąsiad Waszczuka, u którego odbywało się właśnie noworoczne przyjęcie. — To u Waszczuka. Czyżby palnął sobie w łeb?

Jeden z gości, tęgi, łysawy mężczyzna o wylupianych ochach, który znał Waszczuka, ponieważ pracował w tym samym biurze, zauważył, odstawiając kieliszek:

— A wie pan, możliwe... On w ostatnich czasach nie wyglądał normalnie. Trzeba sprawdzić.

Wyszedł do sieni, a za nim reszta gości.

— Tak, — skonstatował — coś tu niewyraźnego. Czujecie państwo swąd? Tam się pali.

Zadzwoń, potem mocno zastukał. Gdy po dłuższym pukaniu nikt nie otworzył wspólnym wysiłkiem wyważono drzwi. Buchnął dym.

— A nie mówiłem? — powiedział mężczyzna o wylupianych ochach. — Ja zawsze mam słusze przeczucia.

Ktoś włączył elektryczność.

W pokoju panował nieład. Obok przewróconego krzesła leżał Jan Waszczuk. Był martwy. Telewizor płonął, czuć było jakiś niesamowity zapach.

Pożar ugaszono z łatwością. Sąsiad Waszczuka, który znał się na elektrotechnice, stwierdził, że przyczyną wypadku był wybuch lamp w telewizorze.

Zbigniew Stachowiak

O POLONII ZAGRANICZNEJ

MIECZYSLAW OTTO

Poza granicami Polski, w różnych krajach w różnych częściach świata mieszka, według statystyk, około 10-ciu milionów naszych rodaków, których ogół tradycyjnie zwykło się nazywać "Polonią Zagraniczną". Liczba to niebagatelna, ale też niebagatelne były przyczyny, które przez sto kilkadziesiąt lat aż po ostatnią wojnę zmuszały ludzi do porzucania ziemi ojczyźnej i szukania szczęścia w szerokim świecie. Te przyczyny są nam znane, ale w żadnym wypadku nie stanowią klucza do zrozumienia współczesności polonijnej. Aby pod tradycyjną nazwą umieć zobaczyć te treści, które są zgodne z aktualną rzeczywistością, a nie naszym, zwykle mylnym, o niej wyobrażeniem, trzeba zbadać nader złożony kompleks zagadnień. Z jednej strony musimy poznać cały ładunek wewnętrznych treści narodowo-społeczno-ekonomiczno-kulturalnych, z jakim wychodźstwo wkraczało w obce, czasem wrogie środowisko — z drugiej strony warunki nowego życia, oraz zespół wpływów, jakim podlegało ze strony tego środowiska. Dopiero na gruntownej znajomości warunków, które ukształtowały teraźniejszość, można budować wiedzę o dzisiejszej Polonii, rozumienie jej skomplikowanych różnorodnych spraw oraz prawidłowe stosunki z krajem macierzystym.

Jak te stosunki układały się w przeszłości? Bez przesady można chyba stwierdzić, że od chwili uformowania się państwowości polskiej po tamtej wojnie do czasów niemal nam współczesnych nigdy nie ukształtowały się na zdrowych podstawach.

Dopiero od niedawna sprawy zaczęły przybierać korzystny obrót i dziś już roją jak najlepsze nadzieje. Żywiłowy rozwój obustronnej turystyki zbliża, usuwa niesłuszne uprzedzenia, rozwija kontakty i wymianę — powołane do działalności Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną "Polonia" oraz Komisja Polonii Zagranicznej przy Komitecie do Badań nad Kulturą Współczesną PAN ustawiły problematykę emigracyjną na płaszczyźnie zainteresowania społeczno-państwowego.

Organem tych dwóch instytucji, skupiających uwagę i badających życie i problemy wychodźstwa teraz i w przeszłości, jest rocznik Problemy Polonii Zagranicznej. Właśnie niedawno ukazał się jego drugi kolejny numer. Omówienie tego trzynaściorocznego tomu należy zacząć, choć to nie po kolei, od "Dyskusji i polemik", gdzie poruszone zostały istotne dla problematyki polonijnej zagadnienia. Chodzi tu o teksty dwu referatów, wygłoszonych na posiedzeniu Komisji Polonii Zagranicznej i polemizujących z zamieszczonym w numerze pierwszym rocznika artykułem M. Kielczewskiej-Zalewskiej i A. Bonasewicza pt. Rozmieszczenie Polaków za granicą. Pierwszy — F. Miedzińskiego "Polacy" czy "pocho-dzenia polskiego" wskazuje na nadużywanie nazwy "Polak" w stosunku do dużego odłamu emigracji, proponując określanie narodowości według obywatelstwa z dodaniem pochodzenia, co jest bardziej zgodne nawet z aktualnym poczuciem narodowym. Uprzymiśnienie sobie tego stanu rzeczy nie przynosi nikomu ujmy, stwierdza autor, obala natomiast przestarzałe mity, pomaga w ustaleniu rzeczywistego stanu liczbowego. Referat B. Winida porusza sprawę pośrednio związaną z tematem poprzednim, mianowicie badań nad ilością Polaków za granicą. Autor stwierdza brak jakiegokolwiek autorytatywności źródeł krajowych i zagranicznych właśnie, między innymi, z powodu nie ustalonych kryteriów narodowościowych.

Dział "Rozpraw i artykułów" zawiera sześć prac. W. Chojnacki pisze o stanie i potrzebach bibliografii Polonii Zagranicznej i omawia materiały z tego zakresu dotyczące Wielkiej Emigracji, wychodźstwa sezonowego i stałego przed i po pierwszej wojnie światowej. Artykuł E. Gardolińskiego, brazylijskiego działacza polonijnego, to zakończenie rozpoczętej w pierwszym numerze rocznika pracy o emigracji polskiej w Brazylii w stanie Rio Grande do Sul lat 1886 - 1950. Z działalnością polskiego ruchu oporu we Francji w czasie ostatniej wojny zaznajamia W. Dec i B. Szwejgiert. Interesujące studium o wychodźstwie polskim w Zagłębiu Ruhry w latach 1890 - 1914, jego liczebności, rozmieszczeniu i organizacji przedstawia K. Murzynowska. O problemach polonijnej turystyki pisze Z. Filipowicz. Ostatnią pracą tego działu jest studium J. Stryjewskiego pt. Maria Konopnicka w życiu społecznym Polonii Amerykańskiej.

W "materiałach i informacjach" uwagę zwracają wiadomości K. Pietrzaka-Pawłowskiego na temat życia Polonii w Niemieckiej Republice Federalnej po II wojnie światowej, stanowiące ciekawe uzupełnienie artykułu o wychodźstwie w Zagłębiu Ruhry. Poza tym Stanisław Pyzik z Argentyny publikuje tu szkic o dziejach szkolnictwa polskiego w tym kraju, M. Żywirska i H. Janowska uwagi na temat badań

francuskich oraz belgijskich nad emigracją polską. Materiały do dziejów socjalizmu w Stanach Zjednoczonych ogłasza W. Tylewski. Wśród zapisków kronikarskich znajdują czytelnicy wiadomości o działalności emigracyjnego Polskiego Towarzystwa Naukowego oraz z prac Komisji Polonii Zagranicznej. Obszerny dział recenzji zawiera omówienie następujących książek: Pamiętniki Emigrantów 1878 - 1958. B. Czaykowskiego i B. Sulika Polacy w Wielkiej Brytanii. W. Markiewicza Przeobrażenia w świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji. J. Wytrwala America's Polish Heritage — a social history of the Poles in America. W. M. Drzewnieckiego The German — Polish Frontier. Wspomnienia Opolan.

Ogólnie oceniając nowy tom rocznika, jest bogaty w materiały i wiadomości, wydawnictwo powinno przyczynić się do wzbogacenia naszej dość mglistej znajomości życia i spraw emigracji.

Przedruk ze skrótami z "Nowych Książek".

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMERICA
LATINA
FUNDADO EM 1920

BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO

Circulação

É O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

É O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TEM O QUE VEN-
DER E COM QUE
COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDE-
RA MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA — PARANA

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA

WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO PORTU GDAŃSKIEGO

*"Tu masz okręty z płóciennymi skrzydłami,
Tu masz z zamorza trefne szczyty — widły,
Masz wyniosłe z bocianimi gniazdy*

Pod same gwiazdy.

*Tu w stradyjektach masz śmiałe bosmany,
Masz z dalekich stron kupce i ziemiany;
Przedawaj, kupuj, handluj, bij dionią w*

*[dłoń
Zysk sobie ugon."*

Tak w swoim "Flisie" opisywał w końcu XVI wieku Sebastian Fabian Klonowicz port gdański, który już wówczas miał za sobą spory szmat żywota. Pierwsza historyczna wiadomość o Gdańsku pochodzi sprzed tysiąca lat w związku z wyprawą misyjną św. Wojciecha, pierwsza zaś historyczna wiadomość o gdańskim porcie pochodzi z 1148 r. Był to już wtedy port ukształtowany pod względem organizacyjnym, lecz niewątpliwie istniał on znacznie wcześniej. Zupełnie uzasadnione są przypuszczenia, że do Gdańska docierali Fenicjanie po burzynie już przed trzema tysiącami lat!

Do Polski należał Gdańsk od czasów Bolesława Chrobrego. W 1308 r. miastem podstępnie zawładnęli Krzyżacy. Krwawa rzeź mieszkańców i zburzenie miasta zahamowało jego rozwój, jednak od połowy XIV w. znaczenie portu gdańskiego zaczęło wzrastać. Najważniejszymi przeładowywanymi tu towarami były zboże i drewno, spławiane Wisłą z różnych ziem Polski. Był to — jak na owe czasy — eksport ogromny. Jeśli chodzi np. o zboże, to w XVI wieku wynosił on średnio rocznie 15 - 20 tysięcy lasztów, czyli około 30 - 40 tysięcy ton. Ówczesne rekordy pobito w r. 1618, kiedy to przeładowano w porcie gdańskim 128 tysięcy lasztów! Oprócz tego przechodziły przez Gdańsk produkty leśne, jak popiół, smoła i воск. Szła też wełna, skóry, ołów, szły ładunki tranzytowe, jak np. węgierska miedź. W odwrotną natomiast stronę, tzn. do Polski, wędrowały przez port gdański metale, szkło, porcelana, papier, tekstylia, wina, owoce południowe, korzenie, cukier, różne towary kolonialne itp.

Wielki rozkwit Gdańska jako miasta portowego rozpoczął się od chwili powrotu miasta do Polski w 1466 r., w wyniku zwycięstwa polskiego nad Zakonem Krzyżackim w Wojnie Trzynastoletniej. Dzięki powrotowi do Macierzy port odzyskał swoje naturalne zaplecze. Późniejsze wojny w XVII i XVIII w. poderwały jego dobrobyt, a rozbiory Polski i odcięcie Gdańska barierami celnymi od dorzecza Wisły sprowadziły go do roli prowincjonalnego, podrzędnego portu. Zresztą rząd pruski upośledzał Gdańsk w różnych dziedzinach: dotyczyło to np. połączeń i taryf kolejowych. Bardzo charakterystyczne są tu pewne liczby. Oto gdy w latach 1873 - 1903 obroty towarowe Gdańska wzrosły tylko o 43%, to w tym samym czasie obroty Królewca zwiększyły się o 92%, Szczecina o 172%, a Hamburga nawet o 276%.

Po pierwszej wojnie światowej Gdańsk ponownie wszedł w orbitę wpływów polskiego obszaru gospodarczego i znowu stał się ważnym portem handlowym. Co prawda, polityka Senatu Wolnego Miasta ograniczała prawa Polski, ale w gruncie rzeczy port gdański służył Rzeczypospolitej i dzięki niej osiągał coraz większy rozkwit. W 1925 r. obroty towa-

rowe przewyższyły przedwojenne. W rok później Gdańsk był już pierwszym portem na Bałtyku i utrzymał tę przodującą pozycję przez siedem lat. W 1938 r. przeładowano tu 7,1 mln ton, a w pierwszym półroczu 1939 r. — 4,5 mln ton.

W tym okresie Gdańsk był przede wszystkim portem wywozowym węgla. Ale podobnie jak w minionych wiekach — ważną rolę w eksporcie grały również drewno i zboże.

Stale zwiększał się ruch statków. W roku 1912 wyszło ich z Gdańska około 2.900 o łącznej pojemności 0,9 mln NRT. W 1924 r. — około 3.300 o pojemności około 1,6 mln NRT, a w r. 1930, który był rokiem szczytowym — około 6.100 statków o pojemności około 4,1 mln NRT.

Ostatnia wojna zniszczyła port gdański w 45%. W gruzach leżało 80% nabrzeży, magazynów i urządzeń portowych. Ale już w lipcu 1945 r. port został uruchomiony, a w 1946 weszło do niego około 2.000 statków i przeładowano tu prawie 4 mln ton. W tych latach polskie przedsiębiorstwa dokonały doraźnej odbudowy obiektów portowych, a w następnych rozpoczęła się właściwa odbudowa nabrzeży, falochronów, magazynów itp.

Właściwy rozmach rozbudowy przypadł na lata 1950 - 1955, gdy powstawały coraz to nowe obiekty portowe i przybierało coraz więcej urządzeń przeładunkowych oraz sprzętu zmechanizowanego.

W latach 1945 - 1961 koszty inwestycji i nakładów na kapitalne remonty wyniosły blisko 1 miliard złotych. A oto parę przykładów inwestycji poczynionych przez Polskę w latach powojennych. Około 300 mln zł kosztować będzie rozpoczęta przed paroma laty przebudowa i modernizacja kanału portowego. Dzięki tej inwestycji już teraz do portu gdańskiego mogą zawiązać statki o zanurzeniu do 32 stóp i długości 190 m, co do niedawna było niemożliwe. Odbudowano lub przebudowano oraz pogłębiono około 3.100 metrów biegnących nabrzeży, pogłębiono redę, tor wodny i wejście do portu. Wybudowano przeszło 60 tysięcy m² nowej powierzchni magazynowej, nie licząc odremontowanej starej, magazyny specjalistyczne, bazę eksportową żywców, bazę eksportową ziemiopłodów, bazę sprzętu zmechanizowanego, odbudowano elewator zbożowy, tysiące metrów sieci kolejowej, wodociągowo-kanalizacyjnej i elektrycznej.

Po wojnie port gdański stał się pod względem struktury przeładunków portem uniwersalnym. Wskutek spadku masowych przeładunków węgla, które w dużej mierze przejął port szczeciński, ogólne przeładunki portu gdańskiego są teraz niższe niż w okresie międzywojennym. Warto na marginesie dodać, że port gdański przeładowuje około 1/3 ogólnej masy towarów przechodzących przez wszystkie porty polskie. Niemniej w roku 1961 port gdański przeładował blisko 6 mln ton, z czego na węgiel przypadło 2.215 tys. ton, na rudy — 856 tys. ton, na inne towary masowe — 262 tys. ton, na zboże — 481 tys. ton, na drewno — 372 tys. ton, zaś na drobnicę — 1.144 tys. ton.

W ostatnich latach do portu gdańskiego wchodziło rocznie około 3.000 statków o tonażu prawie 3 mln NRT. Warto też

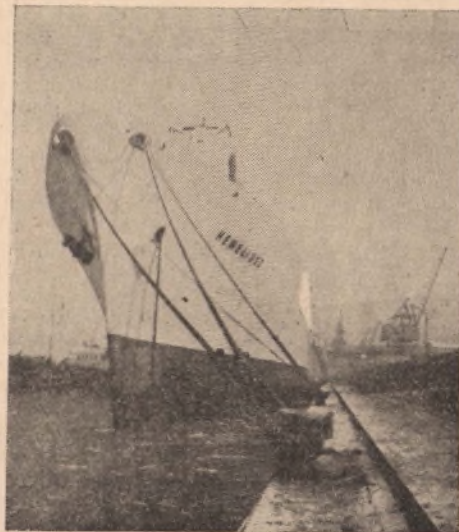
dodać, że w 1961 r. do Gdańska zawinęło z górą 80 dużych statków o pojemności przeszło 5.000 NRT, każdy z ładunkiem 10 - 24 tysięcy ton. Przed wojną statki o takiej wielkości były w porcie gdańskim zjawiskiem nieznanym.

Dotychczas port gdański oraz port w niedalekiej Gdyni pracują jako dwie niezależne jednostki. W przyszłości powstanie jeden zespół portowy Gdańsk - Gdynia. Specjalnie jednak ogromne perspektywy rozwojowe ma przed sobą nadal port gdański, zwłaszcza że na wschód od obecnego portu rozciągają się duże wolne tereny. Tam właśnie powstanie w przyszłości tzw. Port Wschodni, który będzie mógł przeładowywać do 20 mln ton rocznie. Natomiast przeładunek całego portu gdańskiego — starego i nowego — sięgnie około 25 mln ton rocznie.

Będzie to możliwe m. in. dzięki nowym inwestycjom, które czekają obecny port gdański. Planuje się więc zagospodarowanie rejonu Basenu Władysława IV, związane z uporządkowaniem sieci kolejowej, budową magazynów itp. Uporządkowany będzie rejon Nabrzeża Oliwskiego, gdzie nastąpi przebudowa nabrzeża i sieci kolejowej, powstanie chłodnia i magazyny oraz rozbuduje się bazy wazrywniczo-owocowe. Podobna przebudowa układu kolejowego i drogowego dokona się także w rejonie Nabrzeża Wilślanego, gdzie jednocześnie planuje się budowę nowych placów składowych i magazynów. Inne planowane inwestycje zlokalizowane będą w rejonie Westerplatte, gdzie znajduje się część portu drzewnego, oraz między Basenem Górniczym a Wisłoujściem, gdzie zorganizowane zostaną stanowiska przeładunku materiałów sypkich, takich jak cement, tlenek glinu itp.

Stary port gdański, dziś już nierozdzielnie związany z Polską, odbudowany i rozbudowany przez nią, rozrasta się, młodziwie i służy krajowi coraz lepiej.

JERZY PODLASKI



W styczniu podniesiono banderę na nowym statku polskim m/s Heweliusz o tonażu 8.300 DWT.

ZAKŁĘTY KAMP

W r. 1923 Mieczysław Lepecki wydał w Kurytybie opowiadanie pt.: "Zakłęty kamp". Opowiada w nim o Campo Ere, rozległym stepie leżącym w najdalszym zakątku dawnego Contestado. W tym to właśnie Campo Ere, bezludnym i omijającym nawet przez Indian Coroado, zobaczyć można zaczarowany biały dom, wyniosły i surowy, bez okien i drzwi. Jeden tylko w nim otwór-wejście. Stoi tam starzec białobrody i zamglonym wzrokiem spogląda w step. Jak zjawa biega wokół młoda i piękna dziewczyna. Jej srebrzysty śmiech nie ma w sobie nic ludzkiego. Biada nierozważnemu, co ośmielił się podejść do tajemniczego domu, śmierć na niego czyha nieubłagana.

"Wielokrotnie słyszałem tę legendę — pisze Lepecki — w czasie przebywania w okolicach Xanxerê i Passo dos Indios. Prawdopodobnie wspomnienie o tych cudach nigdy nie powróciłoby do mojej świadomości, gdyby nie fakt który opowiem".

Było to w niewielkim miasteczku na zachodzie Parany. Autor znalazł się tam w sprawie pewnego pomiaru. Interes został szybko załatwiony, ale zaczęły się zimowe deszcze, ziemia rozmiękła i drogi stały się nie do przebycia. Z nudów pisarz wdał się w rozmowy z przygodnymi towarzyszami niedoli. Jeden z nich, typowy mieszkaniec lasów, niejaki Chico dos Campos, zwierzył mu się, że mieszka w pobliżu osławionego Campo Erê. W umyśle pisarza zrodził się nagle pomysł zbadania prawdziwości legendy o Białym Domu. Fazender próbował go odwieść od tego zamiaru, ale bezkutecznie. Dość na tym, że w kilka dni potem, gdy drogi obeschły, a wezbrane rzeki wstąpiły w swoje łożyska znajdujemy obu w drodze do zaczarowanego stepu. Po wielodniowej uciążliwej podróży docierają wreszcie do leśnej fazendy, ogrodzonej wysokim płotem, z wyniosłymi palmami przy bramie. Do autora opowiadania przyłącza się tam odważny młodzieniec, który nie boi się nikogo, ani niczego i który chce mu towarzyszyć w drodze do Białego Domu. Są tu też nieodzwonne "olbrzymie, czarowne, a przepaściste oczy" córki fazendera, Marii, śledzące w chwili odjazdu z przerażeniem zuchwałych podróżnych. Ci zaś po całodziennym jeździe przez step zatrzymali się wieczorem na nocleg nad strumieniem pod wyniosłą skałą, zasłaniającą od wiatru. Towarzysz pisarza wdrapał się na skałę, aby obejrzeć okolicę. Nagle rozległ się nieładzi krzyk:

— Casa Branca!

Jednocześnie kabokło dał susa z wierzchołka skały, schwycił nierozsiedlanego jeszcze konia i dosiadł go. Wiatr zerwał mu kapelusz i zdenerwowany pisarz zobaczył dokładnie, "jak włosy zjeżyły mu się na głowie". Autorowi zrobiło się nieprzyjemnie, otrząsnął się jednak szybko, a ponieważ był znużony całodzienną jazdą zasnął wkrótce z siodłem pod głową. W nocy budził się wielokrotnie w przekonaniu, że ktoś nad nim stoi. Dobrze po północy przebudził się znowu pod wrażeniem, że ktoś wpatruje się w niego. Nagle doznał uczucia, jakby zapadał się w przepaść bez dna. Jak przez mgłę zobaczył nachyloną nad nim kretowatą — białą twarz i długie i suche ręce, wykonujące jakieś dziwne ruchy. Stracił przytomność.

Ale oddajmy głos Lepeckiemu:

"Nie wiem jak długo nie miałem świadomości, ocknąłem się w jakimś domu bez okien, z góry tylko, z małego otworu wpadał długi promień światła... Spróbowałem wstać, lecz w głowie poczułem jakiś okropny szum i ból, nie mogłem zupełnie ruszyć się z łóżka. Zrezygnowałem po kilku próbach i zacząłem rozglądać się ciekawie po wnętrzu chaty. Całe ściany zawieszono byłymi dziwnymi rzezbami i rysunkami rytymi w kamieniu, na podłodze stały płyty kamienne, podłużne, z nakreślonymi hieroglifami...

W pewnej chwili uświadomiłem sobie niesamowitą twarz, pochyloną nademną owej strasznej nocy i ciarki przebiegły mi po plecach.

Nie wiem jak długo leżałem pogrążony w smętnych rozmyśleniach, gdy nagle usłyszałem szelest; z ciemnego kąta... wysunęła się jakaś postać. Przede mną stała młoda piękna Indianka. Ciemna i melancholijna jej twarz uśmiechała się do mnie rozkosznie. Głowa owana przez czoło wąskim paskiem skóry lonty i z długim piórem wetkniętym we włosy, była tak piękna, jak tylko można pomyśleć. Odziana zaledwie małym fartuszkem i pysznymi bransoletami wyglądała niczym postać przeniesiona w nasze czasy z dworu Inkasów peruwiańskich lub może z czasów państwa jezuicko-indiańskiego.

Przemówiła do mnie językiem melodyjnym i siódkim. Nie rozumiałem nic, zagadywałem do niej po brazylijsku i wszczkimi znanymi mi mowami — nie znała żadnej... W końcu zacząłem mówić do niej po polsku i pomagając sobie gestami starałem dowiedzieć się skąd się tu wzięła i gdzie jestem. Nie wiem, czy nie zrozumiała, czy nie chciała odpowiadać dość, że nic z niej nie wydobyłem.

Przyniosła kawałek dziwnej tkaniny, namoczyła w wodzie i owinęła mi głowę.

Prez szereg dni leżałem, ale codziennie czułem się lepiej, aż po tygodniu zacząłem podnosić się i spacerować po mieszkaniu. Yará przesiadywała u mnie całymi godzinami. Było mi zupełnie dobrze, starałem się nie myśleć o niczym.

Pewnej nocy, byłem podówczas już zupełnie zdrow, usłyszałem dziwne szmery za ścianą. Zaciekawiony stanąłem na stołku i wyjrzałem przez sparę pod dachem. Na dworze było widno prawie jak w dzień. Obok chaty siedziało kilku ludzi o miedzianych twarzach Indian i... starzec białobrody. Mówili coś szybko i monotonicznie, wskazując przy tym często na chatę. Dziwnym przeczcuciem wiedziony byłem niemal pewny, że mówią o mnie. Zabrał głos Białobrody, mówił cicho i stanowczo, zakończył wymownym gestem, jakby wbijał nóż w serce, wskazując jednocześnie na dom. Wtedy wybiegła z cienia pod domem Yára, jakieś żalosne dźwięki padały jej z ust jeden po drugim; mówiła długo i załamywała rozpaczliwie ręce.

... Mężczyźni milczeli uparcie patrząc w ziemię. Dziewczyna ślaniała się od jednego do drugiego, a głos jej dźwięczny i smutny przypominał śliczne trele sabii na wiosnę.

Nagle uświadomiłem sobie z przerażeniem, że oto może już ostatnia moja zbliża się godzina. Zeskoczyłem ze stołka i rzuciłem się do drzwi... Zaledwie jednak stanąłem u wyjścia — biały starzec

zerwał się z ziemi i spojrzał na mnie swym strasznym wzrokiem. Jak przy pierwszym z nim spotkaniu uczułem nagle pod czaszką dziwną pustkę i runąłem bez zmysłów na ziemię. Zamajał mi jeszcze piękny cień Yára, gdy krzyknęła rozpaczliwie i podbiegła do mnie.

Otworzyłem oczy. Był ranek, słońce już wbiło się wysoko nad horyzontem. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy gdzie jestem, co tu robię. Powoli wracała świadomość — Casa Branca, Białobrody, Yára. Co się ze mną dzieje? Czy wszystko to było rzeczywistością, czy snem?

Koń spokojnie pał się o kilkanaście kroków dalej, ja spoczywałem na własnych **pelegach**, siodło leżało pod głową — nic nie zdradzało, abym choć na chwilę stąd odchodził...

Wtedy dopiero uczułem okropny strach; włosy pod kapeluszem zjeżyły mi się, z twarzy uciekła wszystka krew. Pomimo, że słońce świeciło jasno, miałem uczucie jakbym przebywał w głębokich ciemnościach sam i wobec rzeczy, których wytłumaczyć sobie nie można.

... Drżącymi rękami siodłem konia i galopem puściłem się w kierunku, gdzie o kilkadziesiąt kilometrów stała leśna fazenda".

Tyle Lepecki. W jego opowiadaniu spleta się fikcja literacka z posłyszanyimi gadkami ludowymi. Stąd wiele nieścisłości i fantazji w przedstawieniu samej legendy, rzeczywistości ówczesnej i obyczajów.

Przed wszystkim w r. 1922 Campo Erê nie było tak dzikie, niedostępne i niezaludnione, aby tylko szaleńcy mieli odwagę zapuszczać się w tamte strony. Całe pocięte pomiarami na fazendy i sitia żywiło licznych mieszkańców. Od Campo Erê do Barakonu (Dionisio Cerqueira) na granicy argentyńskiej ciągnęła się szeroka i dobrze ubita droga, którą liczne **tropy** przewoziły herwę do do Argentyny. Wszędzie wzdłuż drogi spotykało się ludzi, trudniących się rolnictwem i hodowlą bydła. Wszędzie też panował dostateczny dobrobyt, gdyż ziemia była urodzajna, a na stepach i pastwiskach rosła soczysta trawa. Wskutek obfitości żywności mieszkańcy byli bardzo gościnni i nikt nie chciał słyszeć o zapłacie za nocleg, posiłek, czy też pastwisko.

W owym czasie poznałem tam dwóch ludzi, którzy znaleźli się przypadkowo na zaczarowanym stepie i oglądali biały dom. Jednym z nich był traper wożący herwę do Argentyny. Nazywał się José Mattos i był moim przyjacielem. Opowiedział mi, że pewnego dnia w miejscowości Flores, odległej o 22 km od Barakonu, uciekło mu na noclegu kilka mułów. Szukał ich po pastwiskach i kampinach wzdłuż rzeki Flores, potem zaś na wielkim stepie zwanym Reyuna. Przebrnąwszy przez potok wpadający do Flores po dwóch godzinach jazdy wydosłał się na rozległy, niezany kamp. W miejscu tym znajdowało się wzgórze, od którego step opadał łagodnie ku wschodowi.

Nagle José zobaczył przed sobą dom, ukryty wśród drzew. Był to murowany, dość spory budynek, kryty rowkową dachówką, szerszą, nieco spłaszczoną, odmienną od używanej obecnie. Sam dom miał formę wydłużonego prostokąta, było w nim troje wielkich drzwi na froncie, a po bokach okna, osadzone głęboko w murze na jakieś pół metra, co świadczyło o grubości muru.

Po prawej stronie widniał na narożniku wysoki słup kamienny, wkopany w ziemię, a mniej więcej o trzy metry za pierwszym domem — drugi budynek o tej samej konstrukcji, kryty taką samą dachówką, o połowę mniejszy od tamtego, lech również zaopatrzony w troje drzwi i dwa okna. W końcu znajdowało się tam jeszcze coś w rodzaju baszty w kształcie cylindra o jednych drzwiach i jednym oknie, i stożkowatym dachu.

Drzwi i okna wszystkich budynków były szczelnie zamknięte, a ściany pokryte drobnym szaro-brunatnym mchem tak, że gdy patrzyło się na domy z daleka wydawały się one brunatne, nie zaś, jak niosła wieść, białe. Wokół roso kilka białych słodkich pomarańczy, zwanych **limami**, dosłownie obsypanych owocami, a przed większym domem trzy bardzo grube i stare palmy stepowe **butia**. Na lewo od budynków płynął potoczek, a ziemia dokoła była wydeptana kopytami koni, mułów i bydła. Muły José pasły się w pobliżu.

Troper obejrzał wszystko, ale nie ruszył niczego. Postanowił przyjść innym razem wspólnie z przyjaciółmi i narzędziami. Chciał otworzyć drzwi i przekonać się co zawierają budynki. Nie zdążył tego zrobić dotychczas i zaproponował bym mu towarzyszył w wyprawie.

Byłem jednak wówczas bardzo zajęty więc odłożyliśmy tę całą sprawę na później. Odkładaliśmy wyprawę jeszcze dwa razy, aż po kilku latach przyjaciel mój zachorował na wątrobę, pożyłki i przestał jeździć z tropą i wreszcie rozstał się ze światem.

Po raz drugi zetknąłem się z zaczerpniętym kamieniem przy innej okoliczności. Chciałem się właśnie przenieść z Barakonu do innej miejscowości i na parę miesięcy przedtem udałem się do mojego kupca — dostawcy, żeby wyrównać z nim rachunki. Kupiec ten nazywał się Arlindo Schneider i miał wende po stronie argentyńskiej, a ziemię w Brazylii. Po zapłaceniu należności zaproszony zostałem na obiad. Zastałem tam teścia Arlinda, Lucia Machado, który mieszkał nad rzeką Flores, oraz jego siostrzeńca, Olegario Lara, pochodzącego z Campo Erê.

Po obiedzie Olegario opowiedział przy winie jak odkrył ścieg Vaca Branca i jak teraz nie może tam trafić. Mniej więcej przed rokiem bawiąc w gościnie u wujka zamknął u niego w zagrodzie konia wierzchowego i jucznego muła. W nocy zerwała się silna burza, wyrwała z korzeniami jedno z drzew, które przewracając się wylało drzwi od zagrody. Skorzystał z tego zwierzęta i uciekły. Olegario szukał ich długo, ale znalazł dopiero trzeci dzień na stepie poniżej kempiny Reyuna. Odkrył tam dziwne budynki, które są zapewne owym białym domem, opiewanym przez starych. Opowiadanie jego zgadzało się co do joty z opowiadaniem José Mattosa, różniąc się jedynie w materii drzew owocowych. Mattos twierdził, że rosły tam limy, a Olegario, że inny gatunek pomarańczy.

Od tego czasu Olegario urządził już dwie wyprawy w towarzystwie przyjaciół do tajemniczych domów, ale nie mógł ich odnaleźć, jakby zapadły się pod ziemię.

— Widziałem je i dotykałem ich i nie mogę tam trafić. To przecież nie do pojęcia! Można zwiariować!

Co się stało z odkryciem Lary? Do dziś nie wiem.

PINIOR



A MARCHA ECONÔMICA

Continuação do número anterior.

JAMIL

NAMI

CURY

Os conchaves devem evidenciar no todo e sempre, que a assistência diretamente aplicada, produz sem sombra de dúvidas, um resultado certo, com alterações desprezíveis e quase não notadas.

O solo é bom. O homem é capaz. A nação comporta.

Não é apenas no Estado de São Paulo que deve existir o propósito cooperativista, embora tenha nascido aqui o movimento. O Brasil inteiro precisa do cooperativismo, para que então todo o nosso povo possa contar com a existência pacífica dos gêneros necessários ao seu sustento e para a criação de seus filhos, como também a nação poderá comparecer sempre no mercado externo, com uma variedade de produtos e sub-produtos, que proporcionem divisas e posição de destaque no mercado mundial.

O subdesenvolvimento no sentido real da palavra, coloca o Brasil numa posição deficitária em comparação a países menos favorecidos, porém bem administrados no sentido de concentração de forças para uma produção generalizada que obedece as bases de associações e cooperativas.

Para que o Brasil tenha de fato uma melhoria na sua economia, podemos dizer que torna-se de caráter intransferível e de carência realmente probatória, que tenhamos ajuda de governos amigos ou de banqueiros privativos.

Por outro lado, de nada nos adiantaria a ajuda financeira de outros países ou bancos, se não sustentarmos a base inflacionária numa posição aceitável para um país em franco desenvolvimento como o Brasil. A nossa numerologia inflacionária anual, assusta qualquer empregador de dinheiros, posto que a sua aplicação periclitará por dificuldades de liquidação em tempo hábil.

Precisamos outrossim, conseguir uma base de crescimento de nossa economia de pelo menos cinco por cento anualmente, sem o que, estaremos caminhando para um caos sério e prejudicial à nossa terra e a nossa gente.

Não havendo um número de taxa econômica anual adquirida pelo Brasil, a densidade produtiva adquiriria um abatimento tão forte, que o nosso fim seria a bancarrota.

Antes desta fase, estaríamos numa posição de "cristalização" industrial de tal forma prejudicial, que a percepção em rendimento-homem seria desprezível a ponto de alentar planos de "outras bandeiras", sobre esta terra que tem sofrido tanto e em tão pouco tempo da forma mais brutal que se possa imaginar, pelos oportunistas que se cognominam "bons-políticos" pregadores de boas ações e de bons princípios.

Fala-se em "plano trienal". Ora, o plano trienal se difere de outros planos já mencionados por outros nomes de projeção corriqueira e já banal aos nossos ouvidos e aos nossos olhos cansados dos mesmos, que estão no poder ou em torno "Dele", sempre com os interesses mais acirrados para os "bons propósitos".

Façam-se planos, porém cumpram-se os mesmos após estudos por desinteressadas "cabeças" de técnicos experimentados bem assalariados para tal, afim de serem evitados sócios destas "empresas estatais".

Não há a descoberta de qualquer novo plano que seja a salvação da Pátria. Não há qualquer razão para que acreditemos que o plano trienal seja a única saída de nossa Terra nessa hora angustiosa, como também os senhores alti-falantes humanos partidários de mais um novo empreendimento que lhes possa trazer proveitos pecuniários, gritem por aí, que agora estaremos seguros de uma economia perpétua. Segredos, o plano não encerra. O único segredo é aquele que está escondido aos olhos de todo o mundo, deste ou de outro país: — a boa vontade do homem, a séria vontade do homem, a honra-dez do homem.

Trabalhem pois com vontade de realizar este ou outro plano qualquer que encerre apenas um sentido — o de trabalhar com ritmo uniforme de realizar com despreendimento desinteressado.

Não é apenas planos que nosso Terra necessita. O plano é um ensaio e a nação é o botão de disparo da atividade. Plano sem ação não funciona, não produz efeito.

A remessa de lucros para o exterior, é absurda por agora. É outro obstáculo para novas inversões, as atitudes de líderes pretenciosos, que emcampam companhias estrangeiras de forma arbitrária.

Estas atitudes vêm prejudicar a imigração de capitais é claro. Como é possível às empresas de capitais estrangeiros, efetivarem aplicações no Brasil, se ficam em caráter duvidoso aguardando uma encampação em qualquer dia, bem como submetidos a determinações falhas de remessa de lucros, sem contar com a marcha brutal da inflação na base de 60% anuais como vimos observando.

Não há sombra de dúvida, que o desenvolvimento é fato, porém a marcha inflacionária não condiz, não mantém equilíbrio em comparação à produção.

A produção "per capita" não produz capacidade aquisitiva daquele trabalhador, para que o mesmo possa manter um padrão de vida condizente ao que ele vem a conhecer dentro das fábricas que conhece ou que trabalhe.

As medidas anti-inflacionistas são de caráter inadiável. Seria desejar muito, uma atitude que estagnasse por inteiro a inflação, mas seria normal, providente e mesmo humano, uma atitude do governo federal que privasse negociatas e "sócios" de planos e de iniciativas, em prol de um Brasil melhor".

Estas atitudes por parte do governo da união, não seriam favores e sim obrigações de fato e de direito.

Não podemos aceitar exemplificações de países estrangeiros, porque ficaremos desanimados e constrangidos, quando temos ciência de que uma passagem de "subway" custava 10 cents em 1945; e que hoje custa 15 cents. na maior cidade do mundo. Vê-se que o aumento de 5 cents em quase 18 anos não pode ser levado em conta com os nossos balanços, que são alterados cada 6 meses, com aumentos de 50, 60 e mesmo 120%.

O parlamentarismo não foi outra coisa senão uma casa de marimbondos jogada entre crianças, criando a mais inflamada "barulheira desorganizada", com correrias para não sei onde e assim por diante.

Pois bem, aqui está de volta o presidencialismo. Trabalhem com o presidente, para o presidente, ao lado do presidente.

Voltemos nossas atenções para o Brasil, com o Brasil e a favor do Brasil. É nossa obrigação. É nosso dever. É obrigação e dever de todos aqueles que vivem aqui.

Esperemos soluções de caráter resolutivo, pois que "independentemente de tudo e de todos" a marcha econômica continua.

WARSZAWSKIE TARGOWISKA

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

Dawne to już dzieje Zieleniaka, Kercelaka, Hal Mirowskich, Koszyków, bazaru Różyckiego i Janusza oraz innych pomniejszych targowisk porozrzucanych po wszystkich dzielnicach międzywojennej Warszawy. Po wielu z nich zostały tylko wspomnienia, a dla przyszyłych pokoleń utrwaliły je jedynie nieliczne zdjęcia zamieszczane po różnych czasopismach i kronikarsko-pamiętnikarskie notatki.

Dziś warszawskie targowiska wyglądają inaczej. A jakby powiedział Olgierd Budrewicz — ten najlepszy znawca współczesnej Warszawy — zmieniła się całkowicie ich geografia. Ale, żeby lepiej było nam rozeznać się w tej "geografii targowisk" z 1962 r. przypomniemy sobie charakter tych przedwojennych placów, hal i bud, od wczesnych godzin rannych do późnej nocy pełnych ludzi i gwaru. Oto leżące w centrum miasta Hale Mirowskie pobudowane w 1899 r. Największe targowisko przedwojennej Warszawy zaopatrywało miasto we wszystkie produkty rolne. Dwie ogromne hale — z zewnątrz charakterystyczne z czerwona cegłą nieotynkowanych ścian i przeróżne ozdóbki raczej te zabudowania szpecące — mieściły wszystko, co zdołali przywieźć podwarszawscy ogrodnicy i rolnicy i to, co sprowadzono z zagranicy. Obok straganów z warzywami i owocami krajowymi i zagranicznymi mieściły się stragany z nabiałem i drobiem. Sprzedawano też różnego rodzaju mięsa, wśród którego nie brak było nawet dziczyzny. Były też stoiska z galanterią i taną odzieżą, a wśród tego wszystkiego uwijały się warszawskiego "handlary" — nieodłączny, ale jakże swoisty element tamtej Warszawy. W Halach Mirowskich całe centrum stolicy dokonywało zakupów — szarzy spracowani wielogodzinną pracą ludzie i eleganckie, wystrojone panie.

Między Koszykową i Lwowską mieściły się dużo mniejsze hale — Koszyki, również zaopatrujące miasto w artykuły żywnościowe. Niemalże na krańcach ówczesnej Warszawy, na Ochocie działał Zieleniak, zaopatrujący warszawiaków przede wszystkim w warzywa sprzedawane prosto z chłopskich wozów. Targowisko to upamiętniło się szczególnie w czasie Powstania Warszawskiego, kiedy to pełniło rolę punktu rozdzielczego dla mieszkańców stolicy, opuszczających pod hitlerowskimi karabinami płonące miasto.

Oddzielną, całkowicie już zamkniętą w dziejach miasta kartę posiada Kercelak przy ulicy Okopowej — ogromne targowisko wszelkiej starzyzny, pokątnego handlu, brudnych interesów. Targowisko to w licznych felietonach uwiecznił Wiech.

Praga miała swój Bazar Różyckiego, na który niechętnie jeździli warszawiacy lewobrzeżnej części miasta. Był i pozostał on na razie jednym targowiskiem, do dziś kwintesencją praskiego życia. Tutaj zawierało się i zawiera wszelkie "ważne" transakcje handlowe, tu zawsze można dostać wszystko, czego nie ma gdzie indziej. Były też i pomniejsze targowiska jak np. na Bródnie, Lesznie, Marymoncie, Mokotowie koło dawnej zajezdni tramwajowej. W śródmieściu też było czynnych kilka bazarów, z których

najważniejszymi były na placu Janusza i na Pańskiej.

Wojna zniszczyła wszystkie targowiska. Wiele z nich po prostu przestało istnieć, a stare bądź się przeniosły gdzie indziej, bądź się skurczyły, zmałyły, zmieniły swój dawny charakter. Zaraz po wojnie jako pierwsze otworzyły swoje podwoje stare Koszyki. W 1946 r. nawet nie przypuszczano, że przez ponad 15 lat będą one musiały obsługiwać całe centrum stolicy. Były to przez te lata jedyne w Warszawie kryte hale targowe. Ile też przeobrażeń i renowacji przeżyły! Ale nigdy nie zawiodły swoich klientów. Niedaleko Koszyków, niejako na ich zapleczu przy ul. Polnej vis a vis Politechniki powstała mała filia targowa zaopatrująca warszawiaków w warzywa i nabiał, ale już w przyszłym roku stragany i stoiska na ul. Polnej zostaną zlikwidowane, ustępując miejsca kompleksowi gmachów Politechniki Warszawskiej.

Swoją przedwojenną folklor z domieszką folkloru z Kercelaka zachował po wojnie otwarty bazar Różyckiego. Niestety tradycji bazaru Różyckiego nie odnotowują żadne kroniki. I nawet Wiech z panem Piecykiem, Gienią i szwagrem Piekutoszczakiem niechętnie tu zagląda. A szkoda. Gdyż jest to ostatni nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce bazar, który zachował tradycje i obyczaje dawnych targowisk. Niedaleko bazaru Różyckiego istnieje malutkie targowisko

zwierzęce (w likwidacji), gdzie można nabyć żywe gołębie, kanarki, drób, króliki, psy i inne mniej lub bardziej domowe zwierzęta.

Stare Hale Mirowskie odremontowane zaraz po wojnie służyły jako hale widowiskowe dla przyjezdnych cyrków, imprez sportowych i masowych imprez stradowych. Ciągły brak targowisk w tej części miasta, którego nie mógł zrekompenzować bazar przy ul. Pańskiej, skłoniły władze miejskie do przywrócenia jednej z Hal Mirowskich dawnego jej charakteru. Trzeba przyznać, że halę tę urządzono supernowocześnie, uwzględniając wszystkie wymogi współczesnego masowego handlu artykułami codziennej potrzeby. Na dole urządzono ogromne samoobsługowe stoisko nabiałowo-warzywnicze; na piętrze znajdują się stoiska z wyrobami przemysłowymi niezbędnymi w gospodarstwie domowym. Nie zabrakło też i małego komisju, kawiarni, a nawet poczty. Za budynkiem (wychodzącym frontem na ul. Marchlewskiego), uplasowano stragany ze sprzedażą prywatną.

A inne targowiska? Stary Zieleniak przestał istnieć. Ochota otrzymała nowy targ — dużo mniejszy i położony jeszcze dalej od śródmieścia, przy szosie Krakowskiej. Mokotowskie targowisko zlokalizowano najpierw u zbiegu Puławskiej i Dworkowej, ale obecnie po założeniu w tym miejscu mokotowskiej skarpy-parku, stragany przeniesiono aż za belgijską, w niedalekie sąsiedztwo kościoła św. Michała. Targowiska swoje posiada również Wola, Żoliborz, Grochów, Praga II, a nawet małe Powiśle.

PO KAMPANII CUKROWEJ...

W bieżącym roku kampania cukrowa w Polsce trwała od połowy października do połowy grudnia. Wszystkie 76 cukrowni, jak się to mówi — "pracowały pełną parą".

Zagranica interesuje się przebiegiem i horoskopami kampanii cukrowej w Polsce. Jednym z dowodów tego zainteresowania była w połowie listopada br. wizyta w Polsce dyrektora Międzynarodowej Rady Cukrowniczej, A. E. Stedmana. Polska należy bowiem do czołówek eksporterów cukru i w 1958 r. podpisała międzynarodową umowę cukrowniczą. W produkcji i eksporcie cukru Polska zajmuje piąte miejsce na świecie. Polski cukier chętnie zakupują kraje europejskie, afrykańskie, azjatyckie i południowo-amerykańskie. Dzięki właściwościom gleby, wysokiej technice produkcji, wieloletniemu doświadczeniu i fachowości cukrowników, polski cukier i słodycze na nim produkowane nie mają na rynkach światowych wielu równych sobie konkurentów.

Najwięcej gleby buraczanej Polska ma na Kujawach, na Lubelszczyźnie, w Wielkopolsce i na Mazowszu. W tych też regionach skupiło się najwięcej cukrowni. Do "najsłodszych" województw należą bydgoskie i lubelskie. Woj. bydgoskie dostarcza około 19 proc. całej produkcji cukru. Powierzchnia plantacji buraka cukrowego (65,1 tys. ha) w tym województwie stanowi 15 proc. całego krajowego arealu uprawy tej cukrodajnej rośliny, co równa się 1 proc. światowej uprawy buraka cukrowego. Nie sam oczywiście areal plantacji buraczanych decyduje o ilości zbiorów. Również rozwój agrotechniki, umiejętność uprawy, stałe doskonalenie metod uprawy podnosi wydajność buraka z jednego ha. Ulega ona co roku pewnym wahaniom, ponie-

waż zależy w dużym stopniu od warunków atmosferycznych. W ub. roku ogólnego urodzaju, doskonałych warunków atmosferycznych, przeciętna krajowa wydajność wyniosła 275 p (kwintali) z jednego ha, a na żyznych czarnoziemnych Kujawach dochodziła nawet do 288 kwintali.

Rok 1962 był szczególnie niepomyślny dla polskiego rolnictwa. Zimna wiosna, spóźnione chłodne i mokre lato opóźniły vegetację roślin i zmniejszyły wydajność plonów. Obawiano się nawet, że buraki słabo obrodzą. Liczono na daleko mniejsze zbiory niż w ub. roku. Szacowano je na 230 q z jednego ha dla całego kraju. Jednak słoneczna długotrwała ciepła "polska" jesień znacznie poprawiła vegetację buraka cukrowego i — co jest bardzo ważne — podniosła zawartość cukru w buraku. Choć więc zbiory opóźniły się o około 3 tygodnie — a co za tym idzie, kampania cukrowa też zaczęła się o trzy tygodnie później, bo zamiast jak zwykle w ostatniej dekadzie września, dopiero w połowie października — to jednak plan tegorocznej produkcji cukru został przekroczony. Zamiast przypuszczalnej ilości 230 q buraka z jednego ha, plantatorzy zbierali przeciętnie 240 q, a w Lubelskim i na Kujawach nawet około 265 q. Cukrowość jest nieco niższa niż w ub. roku, kiedy wynosiła około 17,5 proc. W br. wynosi 16,5 do 17 proc. W ub. roku cukrownie polskie wyprodukowały rekordową ilość cukru, bo 1 mil. 700 tys. ton. Plan na ten rok wobec złych warunków atmosferycznych i ogólnego nieurodzaju przewidywał wyprodukowanie 1 mil. 480 tys. ton cukru. Cukrownie wyprodukowały ponad 1 milion 500 tys. ton, czyli o niecałe 200 tys. ton mniej niż w ub. roku. Stanowi to dobrą



Jeden z najwybitniejszych scenografów polskich Zenobiusz Strzelecki. Obecnie Strzelecki przygotowuje scenografię do Agamemnona Ajschylosa, Elektry Eurypidesa i Zab Arystofanesa.

średnią produkcji cukrowej. Potrzeby rynku wewnętrznego zostaną, jak co roku, całkowicie zaspokojone.

Spżycie cukru w Polsce kształtuje się w latach ostatnich na poziomie około 30 kg rocznie na jednego obywatela.

Jeśli jeszcze nie osiągnięto przeciętnej spożycia cukru na Zachodzie Europy i w USA (40 kg na obywatela rocznie), to nie z braku tego produktu, lecz na skutek małego jeszcze na ogół spożycia przetworów owocowych i przeładowania jądłospisów przetworami mięsnymi. Polska nawet w latach nieurodzaju może eksportować znaczne ilości cukru. W ub. roku po zaspokojeniu potrzeb rynku wewnętrznego, na co zużyto około 900 tys. ton cukru, na eksport przeznaczono i wyeksportowano około 700 tys. ton.

Po zakończeniu tegorocznej kampanii i po zabezpieczeniu na cały rok przyszłych potrzeb konsumpcyjnych ludności kraju, Polska będzie mogła wyeksportować zagranicę jeszcze około 600 — 660 tys. ton cukru, co przewyższa nawet eksport z lat 1958 — 1960 o kilkadziesiąt tysięcy ton. Polska była jest i będzie jednym z największych eksporterów cukru!

Przyczynia się do tego stała modernizacja i rozbudowa polskich cukrowni, wprowadzenie do produkcji cukru nowoczesnej technologii w oparciu o wynalazki polskich inżynierów i konstruktorów. Nie bez powodu przecież wiele krajów zabiega, aby polscy inżynierowie konstruowali dla nich cukrownie. Cukrownie, dzieło polskich mózgów i rąk, pracują już w niejednym kraju azjatyckim i afrykańskim.

Do rozwoju cukrownictwa przyczynia się także stały wzrost arealu plantacji buraczanych i nowoczesna agrotechnika, a także opieka jaką nad plantacjami indywidualnych rolników i spółdzielni produkcyjnych roztaczają zespoły inżynierjno-agrotechniczne działające przy wszystkich cukrowniach. Te zespoły prowadzą różnorodne doświadczenia i biorą czynny udział w szkoleniu cukrowniczej służby plantacyjnej. Każda cukrownia w Polsce przy pomocy własnego aparatu agrotechnicznego prowadzi systematyczne szkolenie plantatorów w hodowli i ochronie buraka cukrowego przed szkodnikami.

LUDOMIR RUBACH

Przegląd ważniejszych wydarzeń

Ludzie piszą do mnie z kraju, że takiej surowej zimy jak tegoroczna nie było od r. 1939. Mróz i śnieg zamieniły Europę w okolicę polarną. Zda się nie ulegać wątpliwości, że w przyrodzie zachodzą jakieś zmiany nieodwracalne, że następuje stopniowe ochłodzenie klimatu. Kto wie, czy nie jesteśmy na progu nowej epoki lodowej.

Mróz i śnieg powodują zakłócenia w dostawie produktów do miast. Pociągi się spóźniają, na niektórych szosach następuje czasowe wstrzymanie ruchu kołowego. Odbija się to niekorzystnie na zaopatrzeniu ludności. Toteż wśród ludzi panuje nastrój minorowy.

Poza pogodą są jeszcze inne przyczyny pogłębiające ten nastrój. Oto ostateczne obliczenia wykazały, że zeszłoroczny urodzaj był niższy o ok. 7,8 proc. od produkcji pomyslnego r. 1961. Warunki atmosferyczne spowodowały, że plony zbóż są prawie o 2 kwintale z hektara niższe, niż w roku poprzednim. Zebrano o ponad 2 miliony ton zbóż mniej. Jednocześnie zbiory kartofli są niższe o 7,6 miliona ton, a zbiory buraków cukrowych o 1,3 miliona ton. W związku z tym pogłębiły się jeszcze dysproporcje pomiędzy bazą paszową, a produkcją zwierzęcą. Produkcja roślinna spadła bowiem w r. 1962, natomiast pogłowienie bydła wzrosło w tym czasie o 4,6 proc., a trzody chlewnej o 1,4 proc. Powoduje to konieczność dalszego zwiększenia importu zbóż. W r. 1961 importowano 2.500 tys. ton.; tyleż w r. 1962, a w roku bieżącym czynniki oficjalne przewidują 2.850 tys. ton. W rzeczywistości import zbóż przekroczy jednak napewno tę preliminowaną kwotę.

Zwiększony import zbóż i pasz poważnie zahamuje możliwości wzrostu produkcji przemysłowej. Aby zdobyć środki na dodatkowy zakup zbóż i pasz Polska będzie musiała eksportować różne potrzebne do produkcji materiały, przede wszystkim wyroby hutnicze.

Są to rozważania niewesołe. Kraj nasz przeżywa nowe trudności. Nieurodzaj r. 1962 odbije się nie tylko na sytuacji gospodarczej Polski w rb., lecz i w latach następnych.

(as)

Co kupuje się w Polsce na raty

Jakie artykuły ludzie najczęściej kupują w Polsce na raty?

Czołową pozycję stanowią odbiorniki radiowe i telewizyjne. Na drugim miejscu znajdują się meble. Następną pozycję stanowią samochody, motocykle i rowery. Dopiero później przychodzi kolej na odzież.

Zaznaczyć należy, że w pierwszym półroczu 1962 r. w porównaniu z pierwszym półroczem r. 1961 ilość transakcji ratalnych nieco się zmniejszyła.

Jak żyją studenci w Polsce

Podajemy tu za "Życiem Warszawy" listy studentów warszawskich, obrazujące ich sytuację mieszkaniową i materialną.

Elżbieta Berman w artykule pod tyt.: "Czy koniec tułaczki?" pisze:

Trudności mieszkaniowe studentów — problem stary, wiecznie przewijający się przez szpalty gazet. Osluchano się z nim, przyzwyczajono. Chyba wszyscy zdają sobie jednak sprawę, że dla nas — studentów nie stracił on nic na swej świeżości i ostrości, że nadal jest palącym problemem naszego życia. Przecież cel studiów — nauka — w ogromnej mierze zależy od warunków mieszkalnych studenta. Pragniemy niewiele; odrobiny własnego, normalnego życia. Bo znużyła nas już ciągła tułaczka od znajomych do znajomych, od miłej rodzinki z Grochowa do przyjaciółki z "wolną chatą" (rodzice na wczasach), z wynajętej sionki-nory w śródmieściu do pokojów gościnnych akademika na Kopcińskiej, z Muranowa na Zacisze. Z garstką najpotrzebniejszych ciuchów (reszta upchnięta w siedmiu punktach Warszawy).

— "Można przecież wynająć pokój — słyszę już podnoszące się głosy — można u znajomych, można akademik, można..." Owszem, można.

"Wynajmę pokój w śródmieściu osobom samotnym za pożyczkę 45 tys. zł. Zgłaszać..."

"Dam pomieszczenie z niekrępującym wejściem kulturalnemu — 800 zł miesięcznie. Płatne za 3 lata z góry. Tel..." Znamy to, nieprawdaż? Tylko dla studentów.

Akademik — mało miejsc, olbrzymie zagęszczenie.

Znajomi chętnie przyjmą, ale... na kilka dni. A dalej? Nowa tułaczka i beznadziejne czekanie...

Może nastąpią zmiany?

Rzeczywiście nastąpiły już z początkiem br. akademickiego. Czekanie wprawdzie pozostało czekaniem, ale już konkretnym — w kolejce, nadzieja natomiast znalezienia kąta stała się o wiele bardziej realna. Myślę o zainicjowanej przez "Sztandar Młodych" i realizowanej przez Zrzeszenie Studentów Polskich akcję "Pokoik na Hożej" (kwatery prywatne dla studentów).

Akcja ta jest dla nas olbrzymią szansą, jedynym wyjściem z obecnej sytuacji. Cóż, kiedy zgłoszeń w stosunku do liczby czekających na studentów jest tak mało, że korzystają znów tylko nieliczni — pierwsi w kolejce. Kolejne artykuły — apele w prasie, dawały skutki jedynie chwilowe; dwa, trzy dni po ogłoszeniu były telefony i listy — potem znów źródło wyschło.

Zresztą nie wszystkie oferty są możliwe do wykorzystania przez studenta. Przeglądamy zeszyt ogłoszeń:

"Dam pomieszczenie w Urlach 10 osobom. Dojazd godzinę pociągiem, potem taksówką

1,5 km (za kilka złotych podwiezie). Po 1000 zł z kolacjami”.

“Służew, pokój nieumeblowany — 300 zł plus korepetycje IX kl. ze wszystkiego” (po obliczeniu normalnej opłaty za korepetycje wyniesie to 900 zł).

Inne są zabawne:

“Ciepło rodzinne zapewnione, kaloryferów brak”.

“Samotny przyjmie studentkę. Zoliborz”.

O takich zgłoszeniach z góry wie się, co sądzić; gorzej jest, gdy prawda wychodzi na jaw dopiero na miejscu. Pozornie zachęcające “wygodne pomieszczenie za korepetycje” okazuje się nagle ciemnym kątem w kuchni, w budynku, pamiętającym wojnę japońską.

O sytuacji materialnej studentów podaje ciekawe uwagi Jadwiga Wojteczek:

Przed kasami tasiełkowce kolejki. Nareszcie podpisujemy listę i stajemy się posiadaczami sumy 550 zł stypendium. Niedługo się tym rozkoszujemy; mieszkanie w DS i wyżywienie w stołówce pochłania dużą część kapitału — resztę przeznaczamy na zwrot pożyczek. Procentów się nie płaci, ale poczucie wdzięczności szepce: “poproś go na kawę!”. W kawiarni przysiadają się znajomi, stawiamy im, oni nam. Zwykle są to zupełnie drobne sumy, ale w myśl przysłowia “ziarnko do ziarnka”, pieniądze topnieją jak lód w promieniach słońca. Po 10-15 dniach, pozostałości przelicza się już na ilość abonamentowych przejazdów tramwajowych. Życ jednak trzeba do następnego piątego (wypłata stypendium) więc coraz częściej słychać “stary, pożycz dychę”, w odpowiedzi — “jestem goły”.

Pożyczone 10 zł nie rozwiązuje problemu. Gwałtownie rozglądamy się za możliwością zdobycia pieniędzy. Najprostsze — sprzedam abonamenty stołówek. Na kilka dni jestem uratowana. Ale nie samą wiedzą człowiek żyje. Dlatego śniadania składają się z chleba, margaryny (zapewnia jasność umysłu) i herbaty a obiady z zupki kombinowanej w stołówce. Co prawda, ostatnio ograniczają nam te możliwości jak mogą. Tego sposobu chwytają się jednak osoby bez większej inwencji.

W Akademikach istnieje nieustający przetarg reklamowanych jako szalowe, ciuchów. Tymczasem szukamy pracy. Praca uszlachetnia, praca pomaga poznać ludzi, praca rozwija a wreszcie... praca daje pieniądze. W danej chwili o to nam najbardziej chodzi. Więc pracujemy. Ja sama byłam kolejno pomocą domową, paczkarką kakao, niania, urzędniczką, robiłam liście do więźniów po grzebowych a nawet... napisałam artykuł do gazety (słowo honoru nie kłamię — dostałam forszę). Koledze, który wieczorem był eleganckim panem do towarzystwa (praca!) zupełnie nie przeszkadzało ranne wiorkowanie podłogi i mycie okien (też praca).

Znów mamy pieniądze! Mamy również zaległości w nauce. Pracujemy często rano opuszczając ćwiczenia, które nie zawsze można odrobić z inną grupą. Asystenci i lektorzy grożą skreśleniem z listy, lub co gorsza robią to. Niektórzy rozumieją nasze kłopoty i traktują nieobecność z przymrużeniem oka skrupulatnie egzekwując zaległości na kolokwium. Jesteśmy im wdzięczni.

NA NASZYM POWÓRKU — NA

Przegląd ważniejszych wydarzeń

... w São Paulo:

Trwająca w styczniu i w lutym kanikula nie sprzyjała działalności stowarzyszeń polskich w São Paulo. W salonach Klubu 44 zbierali się jedynie amatorzy gry w buraco i kuchni klubowej.

Z ważniejszych wydarzeń zanotować należy zapowiedziany na dzień 14 lutego odczyt znanego literata polskiego Antoniego Olchy, który wygłosi w Klubie 44 odczyt o współczesnej literaturze polskiej. P. Olcha już po raz trzeci po wojnie odwiedził Brazylię, tym razem w towarzystwie małżonki.

Polonia w São Paulo poniosła w tych dniach ciężką stratę. Dnia 6 lutego zmarł nagle znakomity architekt polski, Lucjan Korngold.

... w Rio de Janeiro:

Rozpoczął się tu na początku lutego festiwal filmów polskich, cieszący się dużym powodzeniem wśród kolonii polskiej i Brazylijczyków.

... w Kurytybie:

29 i 30 grudnia r. ub. odbył się w Kurytybie t. zw. Pierwszy Przegląd Twórczości Amatorskiej Polsko-Brazylijskiej. Sprawozdanie z tej wspaniałej imprezy podajemy obok.

Ukonstytuował się Zarząd największego w Brazylii stowarzyszenia polonijnego União Juventus w Kurytybie. Prezesem obrany został młody inżynier, Rizio Wachowicz, a członkami zarządu: Radomil Celiński (wiceprezes), Jan Kozak (skarbnik), Mieczysław Surek (sprawy socjalne), Feliks Golas (sekretarz), Mieczysław Florecki (sprawy gospodarcze), José Cadilhe de Oliveira (sprawy sportowe) i Paweł Kostucha (biblioteka). Prezesem Rady Nadzorczej obrano dr. Lucjana Kasprzaka, a sekretarzem dr. Pawła Filipaka.

Jak się dowiadujemy przy Towarzystwie União Juventus powstała sekcja teatralna, w łonie której działać będą dwa zespoły — polski i brazylijski. Ten ostatni zajmie się wystawianiem sztuk polskich w języku portugalskim.

Przegląd Polski Informuje:

Mieszkanie za dewizy. Za obce dewizy można kupić mieszkanie w Polsce. Również w Warszawie. Transakcje przeprowadza się za pośrednictwem Banku PKO. Bank posiada do sprzedaży pewną ilość mieszkań spółdzielczych własnościowych. W rb. zostanie wykonany w Warszawie 8-piętrowy dom przy ul. Armii Ludowej, w którym mieścić się będzie 120 mieszkań. Również w śródmieściu Warszawy Bank PKO dysponować będzie 70 mieszkaniami w budynku przy ul. Emilii Plater. Bank buduje także dla swych klientów osiedle domków jednorodzinnych na Mokotowie, które będzie wykonane w rb.

Kupno towarów za dewizy w Banku PKO. Żeby skorzystać z usług Banku PKO niekoniecznie trzeba mieć przekaz od krewnych za granicą. Każdy posiadacz obcych dewiz może je wymienić w kasie Banku w Warszawie lub w ekspozyturach wojewódzkich na t. zw. bony. Nie trzeba się przy tym legitymować, ani wyjaśniać pochodzenia dewiz. Za bony można nabywać w sklepach PKO wybrane towary. Jeżeli ktoś woli gotówkę może przy wpłacie żądać od razu asygnat za które wytypowane przedsiębiorstwa handlowe płacą w złotych po 72 zł. za jednego dolara.

Napady chuliganów na pociągi. W ostatnich czasach mnożą się w Polsce napady chuliganów na pociągi. Przejeżdżające pociągi chuligani, rekrutujący się przeważnie z niedorostków i młodzieży, obrzucają kamieniami. Niedawno cztery osoby zostały ranne w wyniku napadu chuliganów na pociąg niedaleko Chęcin.

No lokomotywę i wagony pociągu pospiesznego z Krakowa do Warszawy po-

sypał się grad kamieni. W 3 wagonach strzaskano szyby.

Jedną z ofiar było dziecko, któremu kawałek szyby tak dotkliwie zranił wargę, że trudno było zatamować krwotok.

Tak jak w większości tego rodzaju wypadków, i tym razem milicji nie udało się schwycić sprawców.

Linia kolejowa z Krakowa do Warszawy przez Kielce należy do najczęściej prześladowanych przez bandy chuliganów. Poranieni ludzie, powybijane szyby w przejeżdżających pociągach, złośliwie uszkodzone znaki sygnałowe i inne urządzenia zabezpieczenia ruchu oraz łączności — oto rezultat wybryków zdziwiałych wyrostków.

Pierwsze doświadczenia...

Dok. ze str. 13

o to, żebyśmy mogli zostać jakiś czas na Wadze. Staszek decyduje się iść z nimi do Szczyrbskiego i załatwić coś z wyższą władzą. Zupełnie szalenie pomysł. Dopiero później, gdy ledwo zdołał uciec, uniknąwszy aresztowania, zdaliśmy sobie sprawę z głupoty tego przedsięwzięcia.

Bierze plecak, pomagam mu go włożyć, przy sposobności obmacuję, czy pusty. Włożywszy rękę do bocznej kieszeni natrafiam na magazynek.

Staram się mówić spokojnym głosem. — Staszek, zostaw ten plecak. Smród. — Dobrze, — odpowiada.

Odcinających Niemców żegnamy niemal z entuzjazmem. Byle prędzej.

— Och, — oddychamy z ulgą.

Niektórym ze zdenerwowania trzęsą się jeszcze ręce. Powoli wracamy do siebie.

Oglądamy schowane po ciemku pospiesznie karabiny. Są wyraźnie widoczne ze schroniska. Cud, że ich nie zauważono. Rozważamy minioną przygodę. Więcej szczęścia, niż rozumu.

Jak dowiedzieliśmy się później Staszek napędził potężnego stracha biednym turystom i uciekinierom z Popradzkiego Jeziora. Kiedy zobaczono go schodzącego z Niemcami na dół, wykombinowano:

“Wszystkich pozostałych zastrzelono. Staszka, który miał legitymację słowacką, sprowadzają na dół do więzienia”.

Wierzę, że współczuli naszym zwłokom serdecznie, chwała Bogu niepotrzebnie.

(Dok. nastąpi).

JERZY PIOTROWSKI

Pierwszy przegląd Twórczości Amatorskiej Polsko-Brazylijskiej

Przegląd twórczości amatorskiej który odbył się w Kurytybie 29 i 30 grudnia r. 1962, zgromadził liczne zespoły kultywujące tradycje swych przodków na ziemi parańskiej. Widzowie, którzy tłumnie zapelnili salony Towarzystwa União Juventus, zobaczyli występy teatralne, taneczne i muzyczne. Czegoś podobnego nie było jeszcze jak długo istnieje emigracja polska w Brazylii.

Dzieci kultywują tradycje dziadów

Na pierwszy ogień poszły piękne dziewczynki i chłopcy, synowie i córki rolników. Zespół ten oczarował widzów swymi dziecięcymi głosami, tańcem i muzyką. Szczególnym powodzeniem cieszył się taniec góralski. Publiczność nie chciała puścić ze sceny małych artystów, każąc im bez przerwy bisować. Zespół folklorystyczny z kolonii Dom Pedro sprawił największą niespodziankę organizatorom imprezy. Został on już zaproszony do wzięcia udziału w V Festiwalu Folklorystycznym i Grup Etnicznych, organizowanym przez departament kultury rządu parańskiego.

Podobały się również występy dzieci z Ośrodka Młodzieżowego w Kurytybie, które pod kierunkiem p. Janiny Urbanowej wykonały szereg scenek i pieśni.

Śpiew ludowy pasją chłopów polskich

Narody słowiańskie lubią pieśni ludowe. W dawnych czasach, aby umilić monotonną pracę kobiety śpiewały przy kołowrotkach. Coś z tego zostało do chwili obecnej. Brazylijczycy, dzieci, wnuki i prawnuki wychodźców polskich, kultywują wiernie to zamilowanie do pieśni ludowej.

W wszystkich wioskach interioru parańskiego, wszędzie gdzie przebywają potomkowie Polaków, istnieją zespoły wokalne i muzyczne. Organizatorzy Pierwszego Przeglądu sprowadzili do Towarzystwa União Juventus niektóre z setek tych zespołów. Wśród nich wyróżniał się chór utworzonej niedawno grupy folklorystycznej w Ponta Grossa, liczący już ponad 30 uczestników. Chór ten, pod kierunkiem ks. Pawłowskiego, rokuje najlepsze nadzieje.

Kwartet wokalny z kolonii Tomás Coelho wykonał szereg pieśni na jeden głos, ukazując dokładnie jak śpiewają typowe nasze zespoły w interiorze.

Chór św. Cecylii z Kurytyby, pod kierownictwem p. Heleny Skalskiej, zaprezentował szereg kolęd polskich i brazylijskich.

Orkiestry ludowe

Zabawy ludowe w interiorze nie odbywają się nigdy bez muzyki. Orkiestry złożone z instrumentów muzycznych polskich i brazylijskich przygrywają na weselach i wszelkiego rodzaju uroczystościach, wykonując polki, mazury, samby, bolera i tańce importowane z Ameryki.

Dwa z tych zespołów zaprezentowały się na Pierwszym Przeglądzie. Zespół z Guajuvira, pod kierunkiem Franciszka Nalepy, wykonał poza utworami muzycznymi szereg pieśni ludowych polskich i brazylijskich.

Zespół muzyczny z Catanduvás, pod kierownictwem Alberta Olbrycha, przypomniał widzom weseliska wiejskie i bale Hinterlandu parańskiego.

Wreszcie orkiestra ludowa Grupy Folklorystycznej Towarzystwa União Juventus, ubrana w stroje ludowe, wykonała najbar-

dziej charakterystyczne utwory folklorystyczne polskie.

Występy teatralne urozmaiciły Przegląd

W czasie Pierwszego Przeglądu artyści teatru amatorskiego przy Towarzystwie União Juventus wykonali pantomimę "Żywy Posąg". Pantomima spodobała się widzom, którzy nagrodzili aktorów długotrwałymi oklaskami.

Zespół teatralny polsko-brazylijski z Arapongas wystawił komedię "Wróg kobiet". Sztuka wyreżyserowana przez Eugeniusza Bieńka, spotkała się z zasłużonym sukcesem. Zaznaczyć należy, że na swej ziemi rodzinnej w Północnej Paranie, zespół cieszy

się powodzeniem. W r. 1962 zespół uzyskał tytuł najlepszego zespołu roku, a jego kierownik artystyczny — najlepszego komika roku. Sztuka "Wróg kobiet" wystawiana była na scenie w Londrinie i zrobiła tam furorę.

Jasełka

Nazajutrz dnia 30 grudnia zespół teatralny Towarzystwa União Juventus wystawił "Jasełka Polskie" Lucjana Rydla. Reżyserował przedstawienie p. Leonard Ciegiełkowski, który grał również rolę Heroda, stwarzając znakomitą kreację. Wspaniałe dekoracje pędzla artysty-malarza Czesława Lewandowskiego wzbudziły nieklamany podziw widzów.

Pierwszy Przegląd Twórczości Amatorskiej spełnił swoje zadanie. Następne spotkania dadzą napewno jeszcze lepsze wyniki. Jest to jedynie pierwszy krok na drodze do ożywienia ludowej twórczości amatorskiej.

Franciszek Dranka

SPOTKANIE Z CUDZOZIEMKĄ

Pracuję spokojnie w swojej przychodni, gdy nagle otwierają się drzwi i wchodzi dr. Leonidas Noronha z jakimś otępłym jegomościem, ubranym w strój sportowy i wyglądającym jak komiwojażer.

Dr Noronha prosi żebym posłużył jako tłumacz. Idziemy do jego gabinetu. Widzę na stole lekarskim młodą kobietę, blondynę, bladą, o długich, jasnych włosach, otaczających smutną twarz, znękaną bólem. Ubranie na niej zniszczone, ale czyste, niezwykle jakieś, pełne haftów, koronek i wstążek.

Na pierwszy rzut oka orientuję się, że mam do czynienia z cudzoziemką. Obok stoi młody mężczyzna, także ubrany odrębnie od nas, z miną znękanego, zakłopotanego człowieka. Zwraca się do mnie czystą, ładną polszczyzną, prosząc o ratunek. Opowiada swą odyseję. Przyjechał z żoną i teściem wraz z innymi osiemdziesięcioma rodzinami na Glebę Orle w Północnej Paranie. Jest zięciem kupca, który ma zamiar na nowym miejscu osiedlenia założyć sklep. Zaskoczyła ich przykra niespodzianka. Oto nie tak piękne spotkało ich przyjęcie w nowej ojczyźnie, cudownej Brazylii, jak im opowiadano na miejscu w Polsce, że zastaną gotowe domy, uprawne pola, pasieki pełne miodu i płoty oplatanie kiełbasami.

Pytam się chorej co jej dolega. Pokazuje mi spuchnięte jak banie nogi, pełne czarnych punkcików. Stopy — palce i pięty — zdeformowane, aż żal patrzeć, miejscami z ran cieknie materia.

Patrzę na lekarza i od razu się rozumiemy. Chora ma nogi pełne bichos de pé, pełny ziemnej. Pasożyt ten wkręca się w ciało i tam się rozrasta, tyje, objada; z małego jak główka od szpilki

przekształca się w wielkiego jak groch. Kiedy już się rozwinie składa w żywym cieple ofiary jajka.

Zbliżam się do chorej i aż łapię się za głowę. Nigdy, jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego. W nogach biednej kobiety leżały się dziesiątki, może setki pełnych ziemnych.

Lekarz kazał mi wytłumaczyć pacjentce, że musi znieczulić zaatakowane przez pełny nogi i przeprowadzić operację. Trzeba usunąć wszystkie pasożyty, a że już wdało się zakażenie przeprowadzić zabiegi przeciwwskażeniowe. Powiedziałem to chorej i jej mężowi i wróciłem do swojej pracy.

W kilka dni potem pojechałem z dr. Noronha odwiedzić chorą w barakach na kolonii Gleba Orle. Okazało się, że z nóg młodej kobiety dr. Noronha musiał usunąć ponad 80 pełnych. Liczba nie do uwierzenia!

W barakach zapoznałem się po raz drugi z tymi ludźmi, dla mnie cudzoziemcami, bo choć byli oni krew z krwi mojej i kość z kości mojej to jednak pochodzili z kraju nieznanego, w którym nigdy nie przebywałem.

Rozmawiałem z nimi długo. Starłem się ich pocieszyć, ale czy można pocieszyć człowieka wyrwanego z ojcowego łanu i przeniesionego nagle w tak odmiennym warunkach, nie przygotowanego do walki z wrogą przyrodą.

Minęło już od tego czasu wiele lat, a ja widzę jeszcze przed sobą te twarze pocziwe i smutne, twarze "cudzoziemców", tak drogich mojemu sercu. Ilu to ich zginęło marnie, ilu poszło na dalszą poniewierkę do miast. "Cudzoziemcy".

Feliks Werpachowski

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413

SÃO PAULO

ZIMA W POLSCE



Na saneczkach.



Barbakan staromiejski w Warszawie.



*Małe dolnośląskie miasteczko Kowary
przystroiło się w śnieżną szatę.*



*Zima w Karkonoszach. Na Hali Szrenickiej
— w głębi schronisko.*



FABRICA DE ESPULAS E TUBETES
"PROGRESSO"

HARASIM

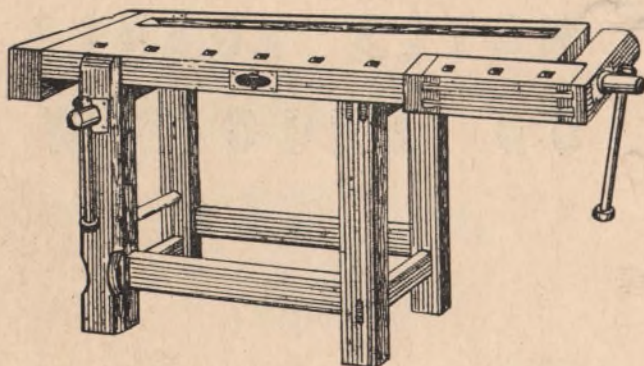
& Filho Ltda.

Rua Serra da Bocaina, 173 • Tel.: 9-7905 • End. Telegráfico "HARASIM" • São Paulo

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p. Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

SPRZEDAJE i PRZYJMUJE
W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores
Alimentadores
Elevadores
Peneiras
Moinhos de martelos
Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

RESIL

INDÚSTRIA E COMÉRCIO S. A. SÃO PAULO

RUA MARTINS BUCHARD, 254. TEL.: 9-5050

ASSENTOS PARA AUTOMÓVEIS

PARA QUALQUER MARCA.

WRESZCIE NA EKRANACH BRAZYLII
DŁUGO OCZEKIWANY FILM POLSKI
PREMIOWANY W CANNES:

MATKA JOANNA OD ANIOŁÓW

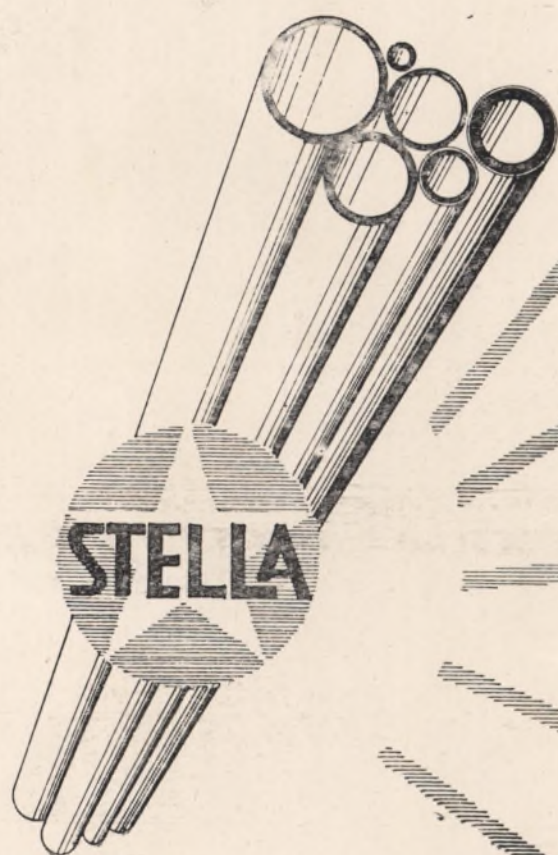
w głównych rolach:
LUCYNA WINNICKA — MIECZYŚLAW VOIT —
reżyseria: JERZY KAWALEROWICZ

INDÚSTRIA METALÚRGICA STELLA LTDA.

Tubos "Eletrodutos"

Tubos trefilados

TUBOS PARA QUALQUER
FIM INDUSTRIAL



Escritório:

Rua Conselheiro Crispiniano, 53

9.º andar - conjunto 93

Telefones: 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

FÁBRICA - Via Monteiro Lobato, 3097 - Guarulhos

Tricot-lã

sweater
original

